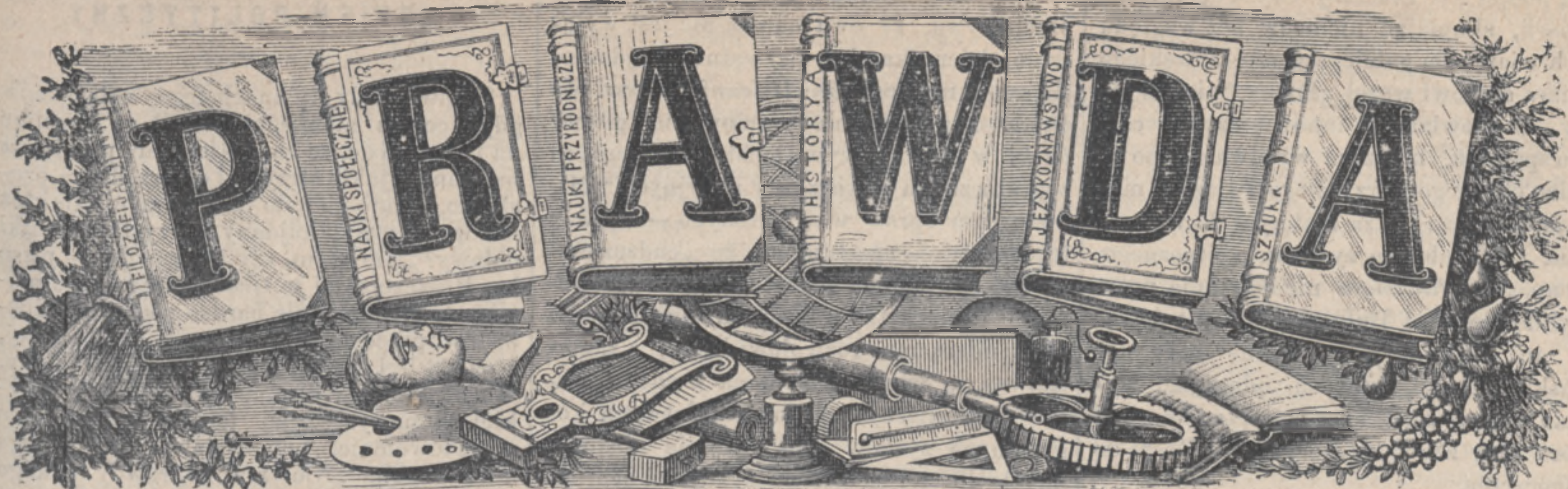
№ 19. Warszawa, dnia 7 Maja (25 Kwietnia) 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

W ZAKRYTE KARTY.

Gdyby rządom silnym, jedną wolą przenikniętym i celów swych świadomym, prasa nie służyła za środek do działania, to przedewszystkiem ks. Bismark ani nie miałby swego organu, ani gadzinowym funduszem nie karmił setek pism, rozrzuconych po całym kraju i wprawianych ukrytemi sprężynami w ruch. Niedawno jedna z niezależnych gazet niemieckich odsłoniła skrawek systemu tych sprężyn. Co to za złożona maszynerya; jak urząd kanclerski puszcza zręcznie z Berlina nurków, którzy wypływają gdzieś w małem mieście prowincyonalnem; jak biuro prasowe pisze artykuły najrozmaitszego kroju, które rozsyła na wszystkie strony i które w jednych gazetach znajdują przyjęcie świadome, w drugich bezwiedne; jak telegraf, milczący stale o najznakomitszych wywodach prasy niepodległej, otrębuje i rozsławia wypracowania służebnej. Widocznie więc, te lotne arkusze zadrukowanego papieru przydatne są polityce i posiadają pewną siłę w walce. Skoro tak jest, każdy występ organów rządowych a zwłaszcza każda ich strzelanina do jakiegoś cudzego fortu budzi uwagę ogólną, bo sięga swem znaczeniem po za doniosłość zwykłych zapasów dziennikarskich.

W ostatnim tygodniu zastanowiła wszystkich nagła, dotąd trwająca kanonada *Nordd. Allg. Ztng* do kilku pism rosyjskich wpływowych i wyrażających zapatrywania rządu. Jak dalece ze strony niemieckiej szukano sposobności, świadczy haczyk, o który się zaczepiono—zdanie *Dniewnika warsz.*, bardzo rzadko zaprzątającego głowę gazety Bismarka. *Dniewnik* powiedział, że Niemcy, popchnąwszy Austryę na Wschód i urządziwszy kongres berliński, straciły zaufanie Rosyi. *Nordd. Allg. Ztng* odparła ten zarzut wyjaśnieniem, że ks. Gorczakow poczynił na Wschodzie ustępstwa Austryi (zajęcie Bośnii i Hercegowiny) jeszcze przed kongresem berlińskim, który Rosya również sama zwołała i we wszystkich swych ujawnionych żądaniach znalazła poparcie Niemiec. Na to odezwały się *Mosk. Wiedomosti* długiem upomnieniem treści następującej.

Gorczakow nie popychał Austryi w kierunku wschodnim, tylko zbyt słabo jej się opierał. Polityka ta i jej zdobycze były dziełem hr. Andrassego i jego mistrza oraz opiekuna ks. Bismarka. Postanowiono usunąć Rosyę z półwyspu Bałkańskiego a wykonano to — jak dotąd — skutecznie. Gorczakow był niewątpliwie zbyt uległym i zbyt uwzględniał interesy obce, ale dobrowolnie nie podkopywał rosyjskich. Jakie znaczenie ma dla nas Wschód? — pytają *Mosk. Wiedomosti* i odpowiadają: „Wschód jest drogim Rosyi, bo łączy ją z nim wspólność wiary. Nie szukała ona tam zaborów i niczego też nie zdobyła. Przelewała krew za religię, oswobadzała współwyznaniowe narody i zabezpieczała niepodległość ich bytu, choć na nieszczęście dla siebie i dla nich polityka jej przez ciąg kończącego się stulecia traciła wciąż grunt pod stopami, błądziła, rządziła się obcemi pojęciami i była raczej obcą, niż rosyjską. Na półwyspie Bałkańskim nie potrzebuje ona bronić terytoryum rosyjskiego, którego tam nie ma, ale winna bronić kościoła wschodniego, którego ani tam, ani nigdzie opuścić nie może. Z trzech wielkich godeł: „za wiarę, Cesarza i ojczyznę"—naród nasz walczył na Wschodzie pod dowództwem Monarchy za wiarę, która stworzyła naród rosyjski, państwo rosyjskie, ojczyznę rosyjską. Gdy usunie się ta zasada podstawowa—zachwieje się wszystko. Rosya nie może z żadnem mocarstwem dzielić Wschodu. Cały, bez różnicy plemion winien on należeć do wszystkich zamieszkujących go ludów prawosławnych, stanowiących z Rosyą jeden system, jeden świat, w którym one jedynie mogą utrzymać się i przechować swą narodowość. Nietykalność Wschodu jest bodaj droższą i ważniejszą dla Rosyi, niż nietykalność jej terytoryum państwowego. Wszelkie najmniejsze tam ustępstwo na korzyść siły obcej będzie dobrowolnem lub przymusowem, świadomem lub bezwiednem wiarołomstwem, które osłabi Rosyę i podkopie główne podwaliny jej bytu."

W wywodzie tym tak stanowczo i wyraźnie zaznaczona została idea religijna, jako główna spójnia Słowiańszczyzny i jako nić przewodnia polityki rosyjskiej, że do domysłu niczego nie zostawia. Według tedy *Moskowskich Wiedomosti* nie pokrewieństwo lub powinowactwo plemienne, nie względy państwowe, nie korzyści materyalne, tylko wyłącznie sam obowiązek zjednoczenia współwyznawców i obrona kościoła wschodniego dostarczała owej polityce pobudek i wykreśla jej drogę na przyszłość. P. Katkow nie stawia tej zasady,

którą podjął i w znacznej części spełnił ks. Bismark, skupiając niemców bez względu na ich wiarę; dla publicysty moskiewskiego ta wiara stanowi węzeł główny, niemal jedyny. O słowianach innowierczych wcale nie wspomina, milcząco wysuwa ich po za granice obecnego i przyszłego związku, może nawet uważa ich za materyał do wytworzenia się osobnego systemu politycznego. Tak np. *M. Wiedomosti* nie odwołują praw Rosyi do Serbii i Bułgaryi, ale nie potrącają ani o Czechy, ani o inne ludy słowiańskie Austryi, których odmienne wyznanie usuwa ową ideę walki za Wschód i które leżą zewnątrz sfery dążeń Rosyi do zjednoczenia.

Nie będziemy tej teoryi porównywali z kierunkiem polityki faktycznej i badali jej zdolności wcielenia się w życie; zaznaczymy tylko, że ona jest jasną i że po za jej celem nie kryje się inny. W każdym razie powiadamia nas ona o przekonaniach *Mosk. Wiedomosti* i p. Katkowa. Co innego manewry *Nord. Allg. Ztng.* Tu widzimy jedynie powłokę z nieznanem ziarnem, tu nie chodzi o to, co myśli p. Pindter, który tak myśli, jak mu każą, ale czego chce ks. Bismark, który za nim stoi. Znając zaś jego zwyczaje i metodę działania, zgadnąć łatwo, że jego służba nie rozpoczęła polemiki na własną rękę, że nie polecił on jej podjąć walki z pismami rosyjskiemi dla zajęcia czemśkolwiek próżnujących najmitów, że „coś tkwi po za tem.“ Co? Mamyż uledz pokusie zrobienia przenikliwej miny i dolania kilku kropli do przepełnionego morza czczych domysłów?

Zbyt łatwa i zbyt bezpłodna to zabawka, tem bezpłodniejsza, że takie występy organu kanclerskiego mogą być zarówno znakiem utajonej chęci zbliżenia się, jak oddalenia od przeciwnika. Ks. Bismark może mieć interes albo zadraśnięcia Rosyi, albo obmycia się przed nią z zarzutów. Zręcznym on jest, ale jeśli rozpoczął zaloty, będzie miał ciężką robotę w odzyskaniu łask utraconych. Prasa rosyjska prawie na całej linii zwróciła się przeciwko niemcom i nieubłaganie odpiera wszystkie ich umizgi. Jednocześnie szereg rozporządzeń świeżych przekonywa, że owa odraza nie jest wyłącznie dziennikarską, prywatną. Najdonioślejsze z nich ogłasza *Dniewnik Warsz.* Ma ono na celu ukrócenie „samowolnej gospodarki w kraju Przywiślańskim rozmaitych zagranicznych towarzystw akcyjnych.“ Ministeryum spraw wewnętrznych — według tej gazety — spostrzegło, że „cudzoziemczyzna zawładnęła bogactwami miejscowemi, pod szlachetnym pozorem dopomagania ekonomicznemu rozwojowi kraju, z zamaskowanym celem umocnienia u nas kapitałów zagranicznych, zdobycia łatwych i ogromnych zysków oraz obejścia niedogodnych dla tej cudzoziemczyzny ceł ochronnych.“ Skutkiem tego polecono Izbom skarbowym, „aby na przyszłość nie wydawały świadectw handlowych zagranicznym towarzystwom akcyjnym,“ oraz, aby władze gubernialne dokonały ścisłej rewizyi praw tych przedsięwzięć i ich stosunku do obowiązujących ustaw państwa. Jakkolwiek mowa tu wogóle o „towarzystwach zagranicznych,“ zarówno istotny stan rzeczy, jako też uwaga *Dniewnika* o „najbliższem sąsiedztwie“ i synach „Vaterlandu“ nie pozostawia wątpliwości, że postanowiono obciąć zbyt długą kapotę niemcom.

Naturalnie dowiadują się oni szybko o podjętych przeciw nim środkach a są szczególnie czuli na ograniczenia swobody podbojów ekonomicznych. Po wzmocnieniu przez Rosyę systemu ceł ochronnych usłali sobie w dziuplach zachodniego boku Królestwa szereg gniazd przemysłowych, których wykręcenie i zniszczenie byłoby dla „Vaterlandu“ szkodą bardzo dotkliwą. Czy ten na nie zamach, połączony z innymi objawami i nieprzyjazną postawą dzienników rosyjskich, która, bądź co bądź, obciąga bliską przyszłość chmurą — czy to wszystko nie ma związku z uruchomieniem bojowem prasy kanclerskiej? Ale — powtarzamy — może to być zarówno znakiem, że ks. Bismark się gniewa lub się łasi. Z jego strony jest to gra w zakryte karty.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawa tedy Schnaebelego załatwiona, gdyż cesarz niemiecki polecił go uwolnić na tej zasadzie, że zaproszenie do przybycia na granicę, jakie otrzymał od urzędnika pruskiego, winno go było ubezpieczyć. Ale któż mu wróci guzy, kajdany i wszystkie skutki obławy? „Nie wiem, czy to prawda — pisze ks. Meszczerskiej w *Graždaninie* — ale mówią, że Bismark nie bardzo pochwalił służbistów, przedstawicieli Temidy niemieckiej, a nawet był z nich zupełnie niezadowolony. Więcej jeszcze dodają: oto książę w zwykłej humorystycznej formie wyraził owo niezadowolenie, powiedziawszy do jednego z zaufanych: „Nie ma doprawdy nikogo głupszego od Bismarka, gdy ten nim być nie umie...“ Oczywiście książę zrobił tu aluzyę do przedstawiciela prokuratoryi niemieckiej, który chciał zabawić się w Bismarka. Istotny Bismark rzeczywiście nieinaczej myśli i postępuje. W epoce, uważ się, ruchów polskich w r. 1863 w lasach nad granicą pruską schwytany został w liczbie innych przywódców powstańczych pewien prusak, pochodzący ze znacznej a nawet pokrewnej Bismarkowi rodziny. Kiedy go ujęto i dowiedziano się, kim jest, władze warszawskie uznały za stosowne skomunikować się z Bismarkiem. Bismark odpowiedział krótko i węzłowato: „Przedtem powiesić, a potem uwiadomić, nie zaś naodwrót.“

Przypuśćmy, że tak było i jest. W każdym razie cesarz trudno o wymowniejszy dowód wartości obecnego „pokoju“ i „przyjaznych“ stosunków międzynarodowych. Pomyślmy tylko: na granicy aresztują policyanta, myszkującego w cudzem państwie. Winien, czy nie winien — co to za wielki wypadek? Tymczasem tu dwa państwa stają naprzeciw siebie groźnie, jeżdżą kuryerzy i wożą noty, odbywają się śledztwa, zdejmują się fotografie miejsca, „Europa“ śledzi z natężoną uwagą przebieg zatargu, zajmuje się nim prasa całego świata, telegramy, artykuły wstępne, korespondencye karmią i drażnią ciekawość kilkuset milionów ludzi. Nareszcie... uwięziony policyant odzyskuje wolność. Poważne *Débats* przyznają obu stronom „zaszczyt,“ poważny *Times* każe Europie czuć wielką ulgę, inne poważne gazety również zwalając zmorę z piersi świata, pozwalają mu lżej odetchnąć. Czy to nie sen? Nie, aresztowanie komisarza policyi było owym „kamieniem trwogi,“

---

1)

Jego Mość mój syn.

NOWELA

przez

Emila Marriot.

Szumiąc i sycząc, zatoczył się pociąg przed dworzec kolejowy. Włościanin jakiś wysiadł z wagonu, popychany i potrącany przez tłoczących się za nim innych pasażerów, zbliżył się do wyjścia, oddał bilet i zeszedł ze schodów. Przed jego oczami rozpościerał się Wiedeń, wielki, nieprzejrzany Wiedeń. Boże kochany! Co za mnóstwo domów, co za wrzawa, co za tłumy ludzi! On, który w wiosce swojej tak był poważany, któremu każdy tak grzecznie się kłaniał, który się tak pysznił ze swych pieniędzy i tak był pewnym siebie — on, w obliczu wielkiego miasta wydawał się sobie bardzo maluczkim. Widział Wiedeń po raz pierwszy. Tak wielkim, dalibóg, nie wyobrażał go sobie. Oszołomiony i nie wiedząc, co począć, stał w miejscu i pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni. Piękna to była postać: na potężnych ramionach osiadła głowa o gęstych, siwych włosach, które na pół przykrywał nizki z szerokiemi skrzydłami kapelusz; okrągła, ogorzała twarz nosiła piętno zamożności i zadowolenia. Był dobrej tuszy i miał na sobie strój odświętny: krótką kapotę ze srebrnymi guzikami, szeroki łańcuch przy zegarku, czarną kamizelkę i takiegoż koloru przykrótkie nieco spodnie, które z tego powodu odsłaniały cholewy długich butów. Ubrał się tak ładnie, bo chciał dobre zrobić wrażenie na wiedeńczykach, a teraz — Boże kochany! Któż tu miał czas i ochotę troszczyć się o jakiegoś tam chłopa? Nikt się nie oglądał na niego.

— To i dobrze! — pomyślał. Cóż mnie obchodzą ci ludzie? Nie wiedzą, że jestem ojcem jednego z ich duchownych — inaczej pewnie byliby grzeczniejsi. Ależ po co tu stoję i patrzę na miasto, jak krowa na nowe wrota? Pójdę do syna. Mam wziąść dorożkę i powiedzieć adres woźnicy— tak syn pisał do mnie. Dobrze, przecież to bardzo łatwo wykonać.

Przystąpił do szeregu dorożek, stojących przed dworcem, powiedział pierwszemu lepszemu woźnicy, dokąd ma jechać, a wsiadając dodał:

— Jego Mość mój syn jest wikarym na probostwie — wiecie.

Dla woźnicy, jak się zdawało, było to dosyć obojętnem; przynajmniej nie odrzekł nic; zatrzasnął drzwiczki i z turkotem popędziła dorożka po bruku.

Włościanin rozsiadł się wygodnie w powozie, położył na tylnem siedzeniu zawiniątka przeróżne, w których mieściły się podarki dla syna, i oddał się cały myślom swoim.

Ta podróż do Wiednia była wielkiem przedsięwzięciem z jego strony i gdyby żona nie była nagliła tak bardzo, pewnie i teraz jeszcze siedziałby we wsi swojej. Ale żona spokoju mu nie dawała. „Musisz raz odwiedzić chłopca, inaczej będzie się martwił“ — powtarzała codziennie. Ona sama, biedaczka, cierpiała na podagrę i z trudnością przychodziło jej się ruszać; gdyby nie to, niezawodnie pojechałaby także. Toć „chłopiec“ ten był jej dumą i ulubieńcem, a inni synowie i córki w połowie nawet nie mieli dla niej tej wartości. Tych wciąż miała przy sobie, podczas gdy syn duchowny prawie zawsze był oddalonym, a z kim matka rozłączyć się musi, tego kocha podwójnie. Lecz życzeniem jej i chłopca było zrobić z niego duchownego, chciała mieć księdza w rodzinie, Paweł zaś, dziecko spokojne i delikatne, zdawał się jakby stworzonym do tego wysokiego powołania. Inne dzieci skrzętnie pracowały w domu,

„chmurą brzemienną gromami,“ „nożem, mającym przeciąć wyprężoną strunę.“ Tak, to nie sen, to rzeczywistość. Z tej próby łatwo obliczyć, co wart dzisiejszy „pokój“ i na jakim włosku wisi wojna.

Pomimo uciechy, jaką wywołało wypuszczenie Schnaeblego, lud paryzki dogodził wreszcie swej tłumionej nienawiści. Po przedstawieniu *Lohengrina*, obległ teatr, uszkodził go w wielu miejscach i ustąpił dopiero przed policyą i wojskiem. Wielu burzycieli aresztowano.

Prowadzone w Petersburgu układy rosyjsko-angielskie co do ustalenia granicy afganistańskiej nie doprowadziły do pożądanego rezultatu, gdyż obie strony dalej we wzajemnych ustępstwach iść nie chcą. Spór zatem na jakiś czas zawiśnie zmotany, dopóki go energiczniejsze środki nie przetną.

W Kandyi wybuchły zamieszki między ludnością chrześciańską a muzułmańską. Według jednych doniesień ruch ten ma na celu oderwanie się od Turcyi i połączenie z Grecyą, według innych dąży obecnie tylko do zdobycia samorządu.

Wrzenie w Macedonii spowodowało Turcyę do wysłania wojsk dla ugaszenia pożaru. Dotąd wszakże słyszymy tylko o zamiarze, a jak daleko turecki czyn leży od chęci — wiadomo.

Ogłoszona została instrukcya dla rosyjskiego vice-ministra spraw wewnętrznych, jako głównego naczelnika policyi państwowej i szefa żandarmów. Spoczywać będzie na nim głównie dozór nad przestępstwami politycznymi i kierownictwo naczelne w zapobieganiu tego rodzaju wykroczeniom oraz w sądzeniu ich. Ta sfera spraw podlegać mu będzie bez ograniczeń ze strony innych władz. Obowiązki te — jak wiadomo — powierzono gen. Szebece.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY ZE WSI.

IV.

Ukształcenie ziemian.

Charakterystycznym jest system, według którego kształcą się młode latorośle rodzin ziemiańskich.

Zwykle niedonoszone płody szkół średnich, ludzie, ktorzy po dziewięcioletnich studyach wyżej niż do czwartej klasy dojść nie mogli, przeznaczani są na przyszłych kierowników gospodarstwa; jeśli zaś chłopiec dobrze się uczy i wybitniejsze objawia zdolności, idzie do uniwersytetu, kończy tam wydział prawny, filologiczny, matematyczny, lub słucha kursów politechnicznych w Rydze, żeby potem osiąść na zagonie i pracować w przedsiębiorstwie, o którem najmniejszego nie ma pojęcia.

Do czego prowadzi podobna droga — odgadnąć łatwo.

Trzecioklasista, bez trudu dobiwszy się stanowiska obywatela ziemskiego, urządza swój dwór, a chociaż dziś, wobec wstrzemięźliwego i oszczędnego życia, jakie panuje na wsiach, nie może zadawać szyku po jarmarkach i w stolicy, bo ściągnęłoby to nań naganę ogólną, niemniej jego stanowisko, jako rolnika i obywatela, jest całkiem bierne, z powodu ciasnoty umysłowej i zupełnego braku pojęcia o gorliwej i rozumnej pracy. Wychowaniec znów uniwersytecki przybywa z zapałem i świetnymi planami do odziedziczonego majątku. Pierwszą jego myślą jest praca nad uspołecznieniem ludu, następnie nad zgalwanizowaniem i podniesieniem działalności ziemiaństwa, o którego apatyi tyle się nasłuchał. Sam fach rolniczy zdaje mu się rzeczą mniej niż drugorzędną. Pracować sam fizycznie nie będzie potrzebował, kierownictwa zaś robotami i głównych wiadomości agronomicznych nauczy go pierwszy lepszy podręcznik. Te pełne dobrej wiary marzenia obala wkrótce smutna rzeczywistość. Zanim jakiekolwiek apostolstwo na wsi da się przeprowadzić, trzeba, ażeby sam apostoł miał grunt pod nogami, spokojnie mógł myśleć o jutrze i obudzał ku sobie zaufanie nawracanych. Wpadłszy zaś w kłopoty codziennego życia, krępowany nieznajomością elementarnych zasad przedsiębiorstwa, naciśnięty trudnościami, które dziś w przerażającej liczbie obarczają rolnictwo, zniechęca się, obojętnieje i albo pomnaża szeregi starszej i bezczynnej braci, albo też z resztkami ocalonego mienia ucieka do miasta, żeby tam, po kilku latach starań, zostać... konduktorem tramwajowym.

Co zaś do córek obywatelskich, tych wychowanie ani na krok nie wystąpiło po za szablonowe reguły, jakie oddawna wyznaczono dla tej kategoryi latorośli rodzin szlacheckich. Z początkami „francuskiego i muzyki“ panienki wiejskie wysyłane bywają do pensyonatów miejskich, gdzie skończywszy cztery lub sześć klas, powracają pod strzechę rodzinną, żeby uzupełnić wiedzę poznaniem przepisów smażenia konfitur i pieczenia ciast wielkanocnych.

Na takich to czynnikach opiera się przyszłość świata ziemiańskiego! Nic dziwnego, że tym niewyrobionym lub chybionym siłom wprędce zaczyna brakować opory, praca, niepośilkowana wiedzą, korzyści nie daje, apatya opanowywa umysł i prędko pomnażają się szeregi „przeciętnej szlachty,“ bez myśli, bez planu, obracającej się w naszym organizmie społecznym.

Błędny system wychowawczy jest jednym z najważniejszych szkopułów, tamujących przyszłość stanu ziemiańskiego. Do niedawna rolnicy o zawodzie swym mieli bardzo skromne pojęcia. Nieco praktyki, wiele enegii, posiłkowanej „boćkowskim,“ wreszcie zamiłowanie do pracy — oto świadectwa dojrzałości zawodowej. Pojęcia te były nalecialością czasów pańszczyźnianych, w których rzeczywiście gospodarz nie potrzebował więcej posiadać kwalifikacyj. Obecnie jednak wiele się zmieniło i rolnicy dobrze rozumieją, że zawód ich to nie rzemiosło, ale nauka. Sami garną się do wiedzy, czytają chciwie wszystko, co ze stanowiska naukowego traktuje rolnictwo, z empiryzmem zerwali stanowczo; ale dlaczego w młodem pokoleniu nie chcą wyrabiać sił poważnych, któreby krzepką dłonią ujawszy ster przedsiębiorstwa, zapewniły mu powodzenie?

Odpowiedź na to jedna tylko: zwątpienie do tego stopnia ogarnęło umysły, iż cały ten świat ziemiański spogląda na jutro zniechęconym wzrokiem. Po co—mówią— kształcić mamy synów naszych na agronomów, kiedy ta ziemia dziś nam zaledwie na kawałek białego chleba starczająca, im już i czarnego nie da? Niech każdy z nich ma fach w ręku, aby, znaglony okolicznościami do porzucenia roli, mógł w świecie czegoś się uchwycić!

W ten sposób rolnictwo traktowane jest jako dziedzina uboczna, dodatkowa, z którą każdej chwili rozbrat wziąść można, do której przywiązywać się nie trzeba.

Nie w tym wreszcie tylko fakcie upatrywać można zanik przywiązania do ziemi, tak pięknie charakteryzującej dawniej rolników Polski.

Spytajmy przedstawicieli inteligencyi wiejskiej, jakiemi są ich marzenia, co stawiają sobie za ostateczny cel dążeń? Czy po wybrnięciu z obecnych trudności pragnęliby osiągnięciem z czasem oszczędnościami podnosić swoje gospodarstwa, zaokrąglać posiadłości i przekazywać następcom? Nie!

Na stu zapytanych, dziewięćdziesięciu odpowie, że byle jako tako dało się poprawić położenie majątkowe, byle kupiec się zna-

---

pomagały rodzicom i bardzo im były pożyteczne; ale Paweł — no, ten właśnie był ich dumą. „Jego Mość mój syn jest wikarym w Wiedniu“ — jak to pięknie brzmi! Nieraz wprawdzie chłop wyśmiewał próżność żony swojej, i w jego sercu jednak także sama gnieździła się duma. Nie przyznając się do tego, potajemnie pragnął pojechać kiedyś do Wiednia i przejrzeć się w blasku syna. Wieleż to potem w domu będzie miał do opowiadania! Jakto ludzie będą roztwierali usta i oczy! Śmiał się sam do siebie; myśli jego z teraźniejszosci cofnęły się w przeszłość. Przykro to było wysłać chłopca do seminaryum i nie widzieć się z nim nigdy, prócz na wakacye. A kiedy już przyjeżdżał w tym czasie — tak zmieniony, roztropny, cichy i poważny — naprawdę dopiero nie wiedzieli, co z nim począć. Siostry i bracia gapili się na niego w skrytości mieli mu za złe jego wykształcenie, małomówność i lekceważenie względem nich; gniewało ich także, że ojciec i matka pieścili go i wywyższali; jeden z chłopców zaś, gruby, rumiany Fryc, przez długie lata nie mógł wybaczyć blademu bratu, że przez niego dostał chłostę od ojca, tylko dlatego, że pokazał język za „panem proboszczem,“ jak go drwiąco przezwały dzieci, który wmawiał sobie, że Bóg wie, jak jest mądry. „Pan proboszcz“ też nie chciał bawić się z niemi, lecz po większej części wtykał nos pomiędzy książki swoje lub wyglądał z okna na dziedziniec, gdzie rodzeństwo pomagało w pracy albo mocowało się z sobą i hałasowało przytem przeraźliwie. Jedzenie także nie smakowało mu tak dobrze, jak innym, a przy stole mówił mało i nie śmiał się tak głośno, jak reszta dzieci. W porównaniu z braćmi i siostrami wyglądał blady i wątły. Był „uczonym,“ a wszyscy uczeni bladzi. Tak często pocieszał ojciec stroskaną matkę. Prócz tego dużo przecież sprawiał im radości: dobre cenzury szkolne, a potem uroczystość święceń kapłańskich, primicye... Matka płakała niemało, a i ojcu roztkliwiało się serce. Piękne, wzruszające wspomnienia!

Staremu łzy napłynęły do oczu, gdy sobie to wszystko żywo wyobraził w tej chwili. Ale trzymał się wszelkiemi siłami. Żeby przejść na inne myśli, odsłonił okno powozu i wyjrzał na ulicę. Ach! te wielkie domy, przed którymi przejeżdżał — to prawdziwe pałace. Ileżroć spostrzegał wieżę kościelną, serce mu ze zdwojoną biło szybkością. Lecz spokojnie, tylko spokojnie. Syn nie lubi scen wzruszających, a on, chłop, nie jest przecie starą babą. Przy powitaniu postanowił być wytrzymałym, obojętnym na pozór.

Wtem dorożka stanęła.

— Czy już jesteśmy? — spytał włościanin.

— Tak, panie dobrodzieju — odrzekł dorożkarz z dobrodusznem szyderstwem w głosie.

— To tu!— Wysiadł i rozczarowany spoglądał na dom. Dom ten nie należał do pięknych i położony był na ciasnej, bezludnej ulicy.

— Ani się umywa do naszego probostwa! — pomyślał stary, płacąc dorożkarzowi, a potem ciężkim krokiem wszedł do bramy. Sługa kościelny wyszedł na jego spotkanie i zapytał, czego chce.

— Przychodzę odwiedzić mojego syna — rzekł z poczuciem godności własnej — wielebnego wikarego...

— Wikary mieszka na drugiem piętrze, drzwi na prawo.

— Dziękuję.

Zwolna wstępował chłop na schody, doznawał silnego drapania w gardle i musiał odchrząkiwać kilka razy.

— Chłopiec mieszka wysoko — pomyślał — całkiem tracę oddech.

Stanął wreszcie u celu i zbliżał się do drzwi. Wisiała na nich mała tabliczka mosiężna, na której wyryte było nazwisko syna. Przyglądał się przez chwilę dobrze znanemu nazwisku i pociągnął potem za dzwonek. Otworzono i niezadługo później

lazł, każdy z nich, zebrawszy jak najspieszniej swe penaty, skapitalizuje ziemię i przeniesie się do miasta. Już dziś, pomimo niekorzystnych warunków, niech tylko ziemianin sprzeda swój majątek, nie pomyśli o dalszej pracy na roli, będącej jedynem polem jego działalności, lecz co prędzej osiedla się w mieście i najczęściej traci tu resztki ocalonego mienia. To samo dzieje się z rozbitkami, których okoliczności lub własne błędy bez żadnych zasobów wyrzucają ze wsi. Emigrują tłumami do miasta, tam pomnażają proletaryat i nie przynoszą najmniejszej korzyści społeczeństwu. Nie pomyśli żaden z tych panów, że lepiej choćby przy najskromniejszem utrzymaniu pracować dalej w zawodzie który, bądź co bądź, obcy im nie jest, aniżeli narażać się na pewną nędzę w mieście. Ciągną wszyscy do miasta, do Warszawy zwłaszcza, i dziś kandydaci do posad z rzędu zbankrutowanych obywateli należą do kategoryi ludzi, przed którymi systematycznie zamykają się drzwi wszelkich stołecznych instytucyj.

Tę niechęć do zawodu potęguje jeszcze postępowanie naszej arystokracyi, naszych wielkich właścicieli ziemskich, którzy przez rok cały do majątku nie zajrzą, zdając wszystko na łaskę i niełaskę swych plenipotentów i administratorów. Niechajby ci panowie naśladować zechcieli przykład arystokracyi angielskiej, która pół roku przebywa obowiązkowo wśród swych dzierżawców, bada ich potrzeby, podnosi zamiłowanie do rolnictwa i ożywia monotonne życie wiejskie! Ale nasi wielcy panowie, skłonni do naśladowania lordów angielskich w rzeczach zbytku i ekscentryczności, nie wzorują się na nich w tem, co połączone jest z wypełnianiem obowiązków obywateli kraju. To też opinia publiczna, zwykle pobłażliwa, słusznie magnatów naszych przezwała mianem „nieobecnych“ i choć myśląca część społeczeństwa wykreśliła już arystokracyę krajową z rzędu czynników, któreby w czemkolwiek na losy narodu wpływ wywierać mogły, to jednak urok wielkich imion zbyt jeszcze silny wpływ wywiera na rzesze szlacheckie, zbyt skłonni jesteśmy do małpowania „wielkich panów,“ by wstręt, jaki oni czują do ziemi rodzinnej nie oddziaływał choć częściowo na posesorów... z Łysej Wólki.

Stoimy więc z jednej strony wobec braku fachowego uzdolnienia, którego przy obecnych kierunkach nie wyrobią w sobie następne pokolenia, z drugiej — wobec systematycznego zniechęcenia, które coraz bardziej ogarnia ogół rolników.

Patrząc na te objawy, przyznać trzeba, że ckliwe deklamacye o wrodzonem umiłowaniu zawodu, o tradycyjnej spuściźnie, jaką jest ziemia w ręku szlachty polskiej, schodzą do rzędu szkodliwych bajek. Nie ma i być nie może zamiłowania tam, gdzie zawód, uważany jako brzemię, traktowany jest z niechęcią — ludzie zaś, którzy nie mają należytego pojęcia o wysokości posłannictwa, spuścizny przyjmować i przekazywać nie mogą, przynajmniej do chwili, w której nie zrozumieją, czem w ich ręku powinna być ziemia, ze stanowiska społecznego i ekonomicznego.

Zrozumiesz może Szan. Redaktorze, gorycz, z jaką odzywam się o ludziach, z którymi dzieliłem lata całe doli i niedoli. Ale przywiązanie, jakie mam do zawodu rolnika, przekonanie, że wiele zrobić można, byle chęć dobra była ku temu, zniewala mnie do nieowijania rzeczy w bawełnę. Słowa: *morituri*! stosować jeszcze nie można do tych, którzy byle działać i myśleć chcieli, jako *resurecturi* na niwie społecznej dzielnymi mogą być żeńcami.

To też rzucę zasłonę na wiele jeszcze naszych grzechów i grzeszków, których litania mogłaby być sporą, a w zakończeniu podam szkicowo myśli kilka o sposobach reformy koniecznej dla ożywienia działalności bardzo potrzebnego w naszym ustroju społecznym stanu.

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

PRZEŁOM W SOCYOLOGII.

II.

Prace Morgana i ich znaczenie.

Wspominając o przewrocie, dokonanym przez teorye socyologiczne Nowego Świata, na pierwszem miejscu stawiamy imię Morgana. Warto wiedzieć, w jaki sposób powstawały jego prace. Niemal całe życie spędził wśród irokezów, w których bycie społecznym znalazł najważniejsze punkty wyjścia dla swych wywodów; został nawet usynowiony przez plemię seneków. Dla rozszerzenia doświadczenia osobistego, prowadził rozległą korespondencyę z misyonarzami w Ameryce i Australii, zadając im pytania i udając się po rozwiązanie wątpliwości; zwiedził dawne ruiny i istniejące osady indyjskie w Ameryce północnej i środkowej, aby tu wydrzeć szkielet rzeczowy pożycia społecznego. Korzystał ze wszystkich zasobów tak bogatej instytucyi naukowej, jak Smithsonianska. Podstawą prac jego — materyał bezpośrednio nagromadzony; każde też dzieło otwiera zgoła nowe widnokręgi, nieznane dotychczas nauce.

Pierwszą wybitniejszą pracę stanowią „Systemy pokrewieństwa i powinowactwa“ (*Systems of consanguinity and affinity of the human family*, 1876). Całość dzieła zajmuje materyał faktyczny, po raz pierwszy przedstawiony światu naukowemu; na wnioski obrócono zaledwie część drobną i są to jedynie zwykłe uogólnienia na zasadzie faktów. Autor, żyjąc wśród irokezów, zauważył, że używają systemu pokrewieństwa, stojącego w sprzeczności z istniejącymi u nich stosunkami rodzinnymi; to samo znalazł u wszystkich indyan Ameryki północnej, oraz u wielu szczepów drawidyjskich z Indyj przedgangesowych. Z tem zjawiskiem niepodobna było załatwić się za pomocą jakiegoś ogólnika. Ale jednocześnie spostrzegł, że na wyspach Sandwich jeszcze przed laty 50 istniały w obcowaniu małżeńskiem stosunki, najściślej odpowiadające systemowi pokrewieństwa indyjskiemu. Dziwna jednak rzecz — i ten system pokrewieństwa nie zgadzał się z układem miejscowej rodziny. Ponieważ systemy pokrewieństwa powstają w zależności od stosunków rodzinnych, są bowiem tylko ich określeniem, przeto wypadało przypuścić, że te ostatnie, w przeciwieństwie do tamtych, stanowią pierwiastek czynny, postępujący, w miarę rozwoju społeczności ku formom coraz wyższym; tymczasem te systemy pokrewieństwa zachowują się biernie, notując w sobie jedynie zmiany zaszłe w rodzinie i przekształcając się dopiero, gdy ich podścielisko materyalne ulegnie przewrotowi gruntownemu. Rodzina wciąż wyrasta z pieluch wytwarzanego przez się systemu pokrewieństw. U czerwonoskórych przybrała już nowe formy, ale system pokrewieństwa odpowiada jeszcze sandwichskim stosunkom rodzinnym; na wymienionych znów wyspach w owym systemie pozostały ślady jeszcze wcześniejszego składu rodziny i małżeństwa. Mając więc szereg systemów pokrewieństwa, możemy odbudować następstwo rozwojowe form rodziny. Uczynił to Morgan, dzięki temu wprowadzając po raz pierwszy do nauki opartą na doświadczeniu klasyfikacyę kolejności w ukształtowaniu stosunków płciowych i wnosząc ład w dotychczasowy chaos niepowiązanych spo-

---

cały czarno ubrany, blady młodzieniec leżał na szerokiej piersi chłopa i całował go w śniade policzki.

— Bóg z wami, ojcze — rzekł i wprowadził starego do pokoju. Czyście dobrą mieli podróż? Co słychać w domu? Czy zdrowi wszyscy?

— O, kochany! kochany! — zawołał chłop i szorstkie ręce położył na wązkich ramionach syna. Mam cię pozdrowić tysiąc razy, a zdrowi są wszyscy i podróż odbyłem dobrze. Matce strasznie tęskno za tobą — i to ci przywiozłem...

Wręczył księdzu mało zawiniątka.

— Matka przesyła ci coś do jedzenia, a siostry uszyły ci koszule, boś pisał, że potrzebujesz.

— Dziękuję — odrzekł młody człowiek i położył rzeczy na krześle. Później wszystko przejrzę. Wprzódy jednak rozgośćcie się, siadajcie i skosztujcie tego wina. Byłem pewny, że będziecie mieli pragnienie po długiej jeździe.

— Spragniony też jestem rzetelnie — odpowiedział stary, mrugając, i usiadł przy stole. Podczas gdy syn nalewał kieliszki, ojciec pochłaniał go wzrokiem. Znalazł go bladym i szczupłym, a niebieskie obrączki pod oczami nie podobały mu się wcale.

— Pijcie — przemówił ksiądz i usiadł przy nim. Dla czego tak mi się przyglądacie?

— Wszak rok cały cię nie widziałem. Ale teraz opowiedz mi coś, Pawełku. Jak ci się wiedzie w wielkiem mieście? Czy nie tęsknisz za wsią?

— Niekiedy — szczególniej teraz, gdy lato się zbliża. Będziecie co jedli może? Oto mięso, ser i chleb. Weźcie ojcze. Jesteście pewnie głodni.

— A ty nie jesz nic, Pawełku?

— Niedawno zjadłem śniadanie, a teraz nie mogę. Radbym był oczekiwać was na dworcu, ale musiałem odprawić mszę o tej godzinie i pójść nie miałem czasu.

— Okropnie pewnie dużo masz roboty — rzekł chłop, zajęty jedzeniem i piciem.

— Dosyć. Zrana trzeba odprawiać mszę, potem przychodzą ludzie, chcący wiedzieć to i owo, następnie daję lekcye religii w szkołach, po południu zaś trzy razy na tydzień udzielam błogosławieństwa. Dalej są jeszcze inne obowiązki: chrzcić, nieść oleje święte i wszystko wogóle, co do księdza należy; nie mówiąc już o słuchaniu spowiedzi. Wieczorem jednak zawsze jestem wolny.

— I kazania miewasz też kiedy?

— Co trzecia niedziela przychodzi kolej na mnie; niekiedy, podczas postu lub w święta uroczyste, w które kazania odbywają się dwa razy na dzień, naturalnie i ja częściej wchodzę na ambonę, gdyż jest nas niewielu — prócz proboszcza i mnie, jeszcze trzech tylko.

— Toć siła ludzi przecie! [illegible] swoich kazaniach mówią wiedeńczycy? Czy bardzo się im podobają?

Młody ksiądz się uśmiechnął.

— Widać, że przybywacie ze wsi... Czy wiecie, wielu jest kaznodziejów w Wiedniu i co w tak wielkiem mieście zachodzi codzień? Tu niema wcale czasu na zajmowanie się jakimś tam kaznodzieją. Prócz parafian, chodzących do kościoła naszego, nikt mnie nie zna, a i tych nawet mało obchodzi, kto jest na kazalnicy, ja czy inny.

— To mi ładne! zawołał ojciec ze zdziwieniem największem. Czyliż wiedeńczycy nie są chrześcianami? Czyż nie znają szacunku dla duchownych swoich?

— O to nie zapytywałem ich jeszcze — odparł młody ksiądz tonem, który wskazywał, że rad był nie dotykać tego tematu; urywając go dodał:

— Dziś po obiedzie jestem wolny. Jeżeli chcecie, możemy pójść do Prateru.

— Na wszystko się zgadzam, Pawełku — tylko w niczem sobie nie przeszkadzaj dla mnie. Ale słuchaj — czybyś mnie nie zaprowadził do proboszcza swojego?

strzeżeń, oraz, co więcej, kreśląc dzieje rozwoju rodziny. Otóż, koło małżonków wzajemnych, im dalej posuwamy się w przeszłość, tem bardziej się rozszerza. W pierwotnej hordzie wszyscy żyli prawdopodobnie w zupełnem pomieszaniu małżeńskiem, z czasem jednak rozpadła się ona na pokolenia wstępne i zstępne: ojców i matek, braci i sióstr, synów i córek itd. Zarzucono związki małżeńskie pomiędzy członkami odmiennych pokoleń, ale zatrzymano je bez żadnego ograniczenia wśród tego samego — siostra jest wspólną żoną wszystkich braci, bliższych i dalszych, brat — mężem ogółu siostr. Z tej rodziny *kazirodczej*, nieznającej, co to jest wiarogodność ojcowstwa, pod wpływem doboru naturalnego, wywiązuje się *swoista* — bracia i siostry w stopniu bliższym i dalszym są już wykluczeni od obcowania małżeńskiego. Tworzą się grupy dwojakie: siostry, rodzone i boczne, znajdują się w zbiorowem obcowaniu z gronem małżonków wspólnych, ale nie swych braci; podobnież bracia posiadają wspólnie swoje żony; ponieważ każda horda zachowuje się wrogo względem drugiej i nie pozwala kołom małżeńskim wybiedz po za swe szranki, wytworzenie grup swoistych z ich zacieśnieniem stosunków małżeńskich prowadzi do rozpadnięcia pierwotnie jednolitego plemienia na poddziały — *klasy na zasadzie płci*, a w ciągu dalszym *rody*. Weźmy grupę swoistą, złożoną z siostr z ich potomstwem w linii żeńskiej; oto skład rodu — wśród niego obowiązuje zakaz żenienia się. Dziecko wchodzi do rodu matki, macierzyństwo stanowi podstawę społeczeństwa, tj. organizacyi plemiennej, ojciec to postać podrzędna. Wśród rodu, pod nieustającym wpływem doboru naturalnego, występuje rodzina *parzysta* — związek jednego mężczyzny z jedną kobietą, ale możliwy do zerwania dla obu płci; dopiero teraz, z nastaniem wiarogodności ojcowstwa, mężczyzna zyskuje na znaczeniu, ale trzeba całego szeregu warunków ekonomicznych, aby ukazała się monogamia lub patryarchalność, oraz prawo ojcowskie.

Dziełem tem Morgan związał człowieka z światem społecznym zwierząt, gdzie również samica stanowi punkt ciężkości społeczeństw, a związki krwi określają ukształtowania społeczne (np. mrowiska). Ustrój społeczny z czasów pomieszania płciowego, to proste stado; z początkiem kazirodczej rodziny powstaje pierwsza organizacya — według pokoleń zstępnych i wstępnych, mająca na celu ograniczenie obcowania, lecz nie dzieli ona plemienia na samoistne koła polityczne. Poczyna się to z rodziną swoistą. Plemię rozpada się na kilka poddziałów równoległych, zawierających każdy różne pokolenia, jak to ukazują nam Howitt i Fison u australczyków. Weźmy np. plemię z pod gór Gambierskich; dzieli się ono na grupy kumitów i kroków. Kumici znów rozpadają się na kumitów-mężczyzn i kumitów-gorów (kobiety); podobnie i kroki. Każdy kumita-mężczyzna jest mężem wszystkich kroków-gorów; każda kumita-gor—żoną wszystkich kroków. Jest to podział jedynie w celu regulowania związków małżeńskich; utrwala się z czasem i przechodzi w organizacyę rodową, tj. ekonomiczno-polityczną. Ale dziejowe znaczenie rodu pozostało ciemnem dla Morgana; dopiero w lat kilka, przy układaniu dzieła „Społeczeństwo pierwotne“ (*Ancient Society*, 1877), odkrywa jego rolę, znajdując w ten sposób klucz do dziejów przedhistorycznych Rzymu, Grecyi i innych ludów cywilizowanych. Badania jego w tym względzie przytykają bezpośrednio do wywodow Maine'a i Maurera: gdzie ci poczynają, uczony amerykański kończy.

(D. n.)

Lud. Krz.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

VII.

Juliusz Ochorowicz i jego dzieło o hypnotyzmie.

Bywają umysły motyle nawet między zamiłowanymi pracownikami nauki. Pstre i połyskujące talentem, przelatują z kwiatka na kwiatek, żeby z każdego kropelkę słodyczy wyssać. Igrają przeróżnemi zagadkami, żadną głębiej nie przejmując się. Posłuszni modnym prądom, żadnemu większej ofiary nie złożą. Za cenę świetnej inteligencyi i pomysłowości dochodzą prędko do sławy, a często nawet osiągają cenne rezultaty, lecz pamięci myślicieli duszą i ciałem po sobie nie zostawiają.

Do takich należy Ochorowicz. Kłamliwem jest zdanie, że „nie rozumie on tego, co mówi i pisze,“ jak mię zapewniał jeden z lepszych matematyków polskich, ale nie wątpię, że na dnie przesady w tej charakterystyce drzemiący tkwi rys jeden, usposabiający niekorzystnie najłagodniejszych sędziów — dziwna skłonność do odkryć, wynalazków, efektownych nowostek. Zwykliśmy łączyć z ustrojem filozoficznym pewną stałość upodobań i, rzekłbym, dramat przekonań — ale nigdy gusta skrzydlate. Stąd owa dziwna a znacząca sprzeczność w usposobieniu opinii. Jedni unoszą się nad twórcą ulepszonego telefonu i wysławiają pod niebiosa jego geniusz — inni pociehutku kpią.

Sferą najwłaściwszą dla podobnego kraju uczonych — jest Francya. Do niej też zwracają się przeważnie uczucia Ochorowicza; w tem wielkiem „Au printemps“ umysłowości, wystawia na pokaz zdobycze swoich bystrych a przelotnych dociekań. We wszystkich jego oddziałach zabawił trochę i ślady niezmordowanej działalności zostawił. Zbogaciwszy technikę kilkoma zastosowaniami fizyki, pod wpływem panującej do niedawna elektromanii, dziś przerzucił się na pole doświadczeń hypnotycznych. Dotknął po kolei wszystkich dziedzin, których tajemniczość nęci i zachęca do tkania teoryek; bawił słuchaczów rozprawami o wolnej woli i... cholerze, a zawsze w sposób lekki, powabny, przystępny, jak rzadko, słowem iście paryzki: niekiedy zaś płytki i powierzchowny, jak w nieszczęsnym *Dzienniku psychologa*.

Przed Sezamem magnetyzmu zatrzymał się najdłużej i próbuje otworzyć go dziełem okazałych rozmiarów p. t. *De la suggestion mentale* *). Klucz to może ostatecznie nie lepszy od innych, ale na dobie. Psychologia zachodu, rozciekawiona cudownemi zjawiskami, jak opętana goni za rozstrzygnięciem wątpliwości i radośnie wita każdy promyk światła. Łatwo więc odgadnąć, że obszerna praca naszego ziomka z góry na sympatyę liczyć mogła; a uzyskała oklask powszechny, gdy wyszło na jaw, że zadawalnia wymagania naukowej ścisłości. Jeśli bowiem spokój, rozgłos i przedmiotowość są wszędzie pożądane, tutaj, wobec mnóstwa pozorów mistycznych, są niezbędne w stopniu najwyższym. Nigdzie chyba jedna litera zanadto, lub litera za mało nie okazuje tyle swej przysłowiowej szkodliwości, jak tutaj.

Lecz gotowiście zażądać bliższych objaśnień i zapytać: dlaczego?

Z objawów, wywoływanych przez pogrążenie w sen hypnotyczny, uderza najwięcej uległość uśpionego rozkazom milczącym, nieujętym w słowa lub ruch, lecz pomyślanym jedynie, czyli, jakby powiedział psycholog — woli nie przełożonej na żaden język. Umysły, skłonne do wiary we wstawiennictwo sił nadprzyrodzonych, łakomie chwytają się tych dziwów, żeby uratować swe podkopane rydlem nauki zabobony. Tak miło przecież słuchać opowiadań o czarach i patrzeć na sztuczki magiczne, tak pustym i suchym wydaje się ten świat bez nadzwyczajności, któremi napchano w dzieciństwie nasze głowy, że na samą myśl o ich wskrzeszeniu serce żywiej bije! Co więcej, ludzie z wykształceniem filozoficznem, a nawet mistrze ich, nałogowo przywiązani do idealizmu, zawczasu tryumfują, gdyż *według nich* poddawanie komuś myśli bez pomocy zmysłowych wskazówek, dowodzi obcowania dusz niezależnie od ciał, a zatem przemawia za odrębnem, niemateryalnem istnieniem świadomości. Dosyć jest, bym chciał, a ty żądanie moje pojmiesz odrazu, nie widząc, ani słysząc mnie! Nasze jaźnie tedy rozmawiają z sobą, jak kochankowie-sąsiedzi, co to gruchają z za firanek. Dla wiedzy doświadczalnej byłby to haniebny policzek, obracający w niwecz dotychczasowe jej mozoły. Dla upiorów klerykalizmu — ciemna noc, w której swobodnie mogłyby wyprawiać harce, po długim płoszącym je dniu. Byłaby to ucieczka dla zdemaskowanych oszustów i szaleńców spirytystycznych, istny kraj obiecany dla wrogów pozytywnego badania.

Zapewne — zdrowy monizm i wtedy nie czułby się zwyciężonym. Miałby co najwyżej jeden problemat więcej do rozwiązania, ale

*) Paryż, 1887, V, 358.

— Po co, ojcze? W Wiedniu, to nie na wsi... Proboszcz nasz tylko urzędowe ma z nami stosunki.

— Tak? A jakże z jedzeniem? Pewnie jadacie u niego?

— O, nie. Proboszcz prowadzi gospodarstwo i stołuje się u siebie w domu. My jemy w restauracyi. Kawę gotuję sobie sam.

— Kawę gotujesz sobie sam! — powtórzył chłop bardzo wzruszony. O kochanie, biedny chłopcze! Skoro twoja matka dowie się o tem, już jej kawa nigdy nie będzie smakowała. A jak są z tobą inni księża? Czy chodzicie razem?

— Rzadko. Pierwszy wikary bardzo jest dumny, a inni także wolą chodzić sami. Prawdę powiedziawszy, mało ich znam i nie zajmuje mnie to, co robią za obrębem probostwa. Każdy żyje dla siebie i w ten sposób nikt nie jest krępowany.

— To prawda, ale przyjemnem jednak nie jest. Powinniście więcej przebywać ze sobą, wtedy nie bylibyście tak ciągle sami. Lecz może innych masz przyjaciół. Ludzie pewnie uważają sobie za zaszczyt, gdy przyjmie od nich zaproszenie ksiądz.

— Ludzie? O jakich ludziach mówicie, ojcze?

— No, myślę — ludzie poważni.

Młody ksiądz uśmiechnął się po raz drugi.

— Kochany ojcze — rzekł — jesteście prawdziwym nowicyuszem. Nas nikt nie zaprasza, a jeżeli będziecie w lepszem towarzystwie, rzadko gdzie spotkacie księdza. Zbyt nizkim jestem, ażeby mieć wstęp do owych kół, które, jak szlachta np., trzymają z kościołem. Klasa mieszczańska zaś księży nawet znać nie chce. Znikąd jeszcze nie odebrałem zaproszenia, z wyjątkiem może, jeśli gdzie chrzciłem dziecko — a i wtedy nawet ma to miejsce dla formy jedynie i ludzie wiedzą, iż ksiądz odmówi na pewno. Nie pragnę też wcale być przyjmowanym w rodzinach mieszczańskich — bo cóżbym tam robił? Dać ludziom sposobność przyglądania się sutannie i tonzurze mojej i stać na uboczu, podczas gdy inni młodzieńcy damom prawią grzeczności? Przeszkadzałbym tylko i sam czuł się nie swój. Na wsi chętnie mięszałem się pomiędzy lud, bo wiedziałem, że wszędzie jestem dobrze widziany i że ludzie mieli sobie za zaszczyt, gdym przychodził do nich.

Umilkł, wzruszając ramionami i zdmuchnął sobie pyłek z rękawa.

— Że też te baby surduta nawet oczyścić nie są w stanie — szepnął zgryźliwie.

(D. n.)

od abecadła swego nie odstąpiłby. Rozmaite postacie siły są dlań jeszcze zamkniętą na siedem pieczęci księgą; gdy przybędzie jedna nowa, nie zbraknie rozumnych hypotez dla jej wytłomaczenia. W każdym razie rozkoszą nie jest borykać się z fanatyzmem i lepiej nie dopuścić, by niepoznawalne zagarniało coraz szersze przestrzenie. Uczeni francuzcy i włoscy — anglicy mniej już — niechętnie wogóle słuchają wszelkich bredni na temat cudowności lunatycznego jasnowidzenia i szydzą z nich niemiłosiernie. Nadewszystko zaś baczą na to, żeby doświadczenia odbywały się sumiennie, ażeby nie grały w nich roli żadne czynniki uboczne, któreby tworzyły pozór poddawania myślą oderwaną, a w gruncie rzeczy same służyły za niewidzialnych przewodników. Gdy już całkiem wyłączoną zostanie możliwość ich, wtedy dopiero będziemy mieli jaką taką zasadę mówić o działaniu wolą nieujawnioną.

Rzecz prosta, że i tam, gdzie rozkaz wyrażono słowem lub giestem, odgadywanie zdań, liczb, imion itd. nosi na sobie piętno tajemniczości. Otóż główną zasługą Ochorowicza jest właśnie to, iż ocenił, jak należy, ważność położenia i z krańcowym objektywizmem postrzeżenia swoje snuł. Okazało się w istocie, że ogromna ilość wskazówek dla wzroku, słuchu, dotyku i powonienia, nader subtelnych i ledwie dostrzegalnych, ofiaruje pomoc uśpionemu. Niewiele zostaje wypadków, w których by ich wykryć nie można było. Jeśli przypominasz sobie, czytelniku, obserwacye Bergsona, przytoczone kiedyś w *Gawędach*, a za przedmiot mające bezwiedne plagiaty z siatkówki eksperymentatora, możesz sobie łatwo wyobrazić, ile poucza osobnika nos, ucho, oko, naskórek, których czułość nadto w chwili owej potęguje się niezmiernie.

Inaczej dzieje się przy poddawaniu myślą bez pośrednictwa narządów jakichkolwiek. Tutaj już nie myśli bruzdżą, ale różne inne czynniki natury logicznej i towarzyskiej, jak kojarzenia pojęć, dokładne zżycie się z otoczeniem itp. Nikt nie zdoła przewidzieć tych dziwnych zbiegów okoliczności, które składają się na wrażenie posłuszeństwa żądaniom niemym. Oto jesteśmy w salonie: rozmowa toczy się o polityce; jedna z dam, korzystając z przerwy, przystępuje do fortepianu i zaczyna grać; skończyła i wróciła na swoje miejsce; pogadanka znowu dotyczy polityki. Rzecz prosta, iż umysł jej jest przygotowany samem następstwem stanów do zamiaru grania. Wprawiona w sen, niechybnie na milczący rozkaz magnetyzera pójdzie do fortepianu. Prawdopodobieństwo takich warunków, ostrzegających przed wiarą w istotne poddawanie, jest zawsze wielkie; stosunkowo najmniejsze zaś, gdy się działa z oddalenia. Faktem jest, iż kilkakrotnie już stwierdzono możność skutecznego rozkazywania *par distance*. W porównaniu jednak z ogólną liczbą wypadków, w których wyśledzono nieścisłość, przesadę — są to zdarzenia tak rzadkie i nieznaczne, że wszystko prawie doradza podciągnąć ich pod kategoryę złudzeń. Tak np. często uprzedza się medium, że zostanie uśpionem z oddalenia; ma to miejsce prawie zawsze. Nic dziwnego, że po takiem ułatwieniu próby, sen następuje rzeczywiście, a badacz całkiem oddaje się na łaskę i niełaskę sceptycyzmu. Franeuz Marillier, wytrawny specyalista, nie tai przed sobą, że prace d-ra Dusarta i Piotra Janeta, które stały się klasycznemi, wykazują duży procent (16 na 22) doświadczeń na korzyść poddawania z odległości i to dosyć znacznej (7 do 12 kilometrów), ale energicznie powstaje przeciw stanowczym wnioskom. Tak wiele składa on na karb naszej nieświadomości psychologicznej i trudności usunięcia wszelkich postronnych danych w dokonywaniu eksperymentów, że zaleca jedynie chłodne zapisywanie faktów bez ryzykownych objaśnień.

Ochorowicz — wszyscy mu to przyznają — z właściwą powagą bada i rozumuje. Wyrzuciwszy za nawias wypadki dwuznaczne, oparł się tylko na takich, które bez widocznego i pochwytnego błędu, przyjąć można za pewne. Ocalało ich jednak tyle, że odważył się stanąć w obronie teczy o poddawaniu myślą. Pozostał kłopot największy: jak sprowadzić te dziwy do znanych praw przyrody, by nie uciekać się do fantastycznych przypuszczeń, czyniących ujmę prawdziwemu uczonemu? Środek znalazł się w teoryi, wedle której procesy myślowe są drganiami nerwów i cząsteczek mózgu. Wszelki ruch ciał udziela się sferze otaczającej; jeżeli napotyka t. z. dobrego przewodnika, przechodzi nań bez zmian, jak to ma miejsce z elektrycznością, gdy ta zetknie się z metalem. Napotkać jednak może mniej przyjazne sąsiedztwo i wówczas ulega przekształceniu. Tak np. z ruchu szybkiego, gdy go gwałtownie powstrzymamy, wywiązuje się ciepło. Lecz jeśli ta siła zmieniona powróci do sfery, pokrewnej tej, z której wzięła początek — natenczas przeistacza się ponownie i odzyskuje swój charakter pierwotny. Istoty ruchów mózgowych nie znamy, ale wedle Ochorowicza, mamy prawo twierdzić, iż każdy szereg ich, odpowiadający pewnej myśli, wypromieniowuje na zewnątrz w postaci odmiennej—dajmy na to, elektryczności lub ciepła — a uderzywszy o drugi mózg, przybiera w nim swą formę pierwiastkową, czyli innemi słowy, powtarza się w kształcie tej samej myśli. Zachodzi tu taki sam mniej więcej proces, jak w przesyłaniu dźwięków z pomocą telefonu, lub utrwalania ich za pośrednictwem fotofonu. Wrażenie, uczucie, wyobrażenie w działaniu hypnotycznem odpowiada tym właśnie dźwiękom.

Zbyteczna chyba nadmieniać, że jest to hypoteza bardzo gruba i na miano teoryi zasługiwać nie może. Jakie takie przecież prawo obywatelstwa zdobędzie sobie, już chociażby dlatego, że *fizyce* z nią bardzo dobrze. Tylko nie zapominajmy, że objawy organiczne są nieskończenie więcej złożone od stosunków przyrody martwej. Zastrzeżenie to niezbędne.

Ochorowicz tedy pozostał wiernym sobie. Dosyć konsekwentnie użył poglądu filozoficznego, który stanowi podkład jego naukowych odkryć i zastosowań, a zarazem spłodził nową doktrynę, która jutro już może należeć będzie do wspomnień, w ogólnym kalejdoskopie rojeń hypnotycznych.

Robon Dion.

ISKIERKI NAUKOWE.

I.

Aeronautyka dzisiejsza i przyszła. Podania o Ikarze i Dedalu w czasach mitologicznych i o Simonie czarnoksiężniku długi czas budziły pragnienie dorównania ptakom, cięższym od powietrza, jednakże swobodnie szybującym w błękitach. Niestety, wszystkie wysiłki celem obmyślenia i przyprawienia człowiekowi skrzydeł do lotu sposobnych zostały bezpłodne. Mechanika zwierzęca zupełnie innemi rozporządza środkami, niż ludzka. Skrzydła ptasie — to komplikacya ogromnego mnóstwa przyrządów, regulujących się automatycznie z czułością, dokładnością i szybkością niedościgłą. Bez tych zalet, właściwych ustrojowi zwierzęcemu, skrzydło byłoby narzędziem dość lichem. Ułamek śruby, wykonywający ruchy wahadłowe, zmuszony zatem pokonywać własną bezwładność za każdem poruszeniem, mający budowę bardzo zawiłą, nie może służyć za wzór mechanice ludzkiej, dążącej do prostoty środków i metody.

Nowy kierunek badaniom wytknęli bracia Mongolfierowie, zbudowawszy w r. 1783 kulę papierową, od spodu otwartą, która się wzniosła w górę, gdy powietrze w niej ogrzane płomieniem słomy umieszczonej w otworze stało się lżejsze od powietrza otaczającego. Dziś wynajdywanie przyrządów, zdolnych utrzymywać nad ziemią ciała cięższe niż powietrze, stoi w jednym rzędzie z wynalezieniem *perpetuum mobile* i kwadratury koła. Śmiali żeglarze wznoszą się zapomocą balonów, napełnionych gazem oświetlającym, lżejszym dwa razy lub wodorem, lżejszym przeszło 14 razy, niż otaczające powietrze, a śruba, obracająca się jednostajnie i poruszana przyrządem elektrycznym nadzwyczaj lekkim, służy do kierowania. Prace nad udoskonaleniami coraz dalszemi prowadzą się ustawicznie a pobudką ich w części miłość nauki w części, większej może, usługi spodziewane od balonów na przypadek wojny.

Klejenie balonu z chińskiej tkaniny, bardzo giętkiej i pokrywanie kilku warstwami werniksu odbywa się z nadzwyczajną ostrożnością. Robotnicy zbliżają się do balonu nie inaczej, jak w rękawiczkach i papuciach, gdyż najlżejsze, niedostrzegalne zadraśnięcie paznokciem spowodować może wydobywanie się gazu z balonu. U dołu i u góry balonu są otwory, szczelnie zasłonięte. Do górnego otworu jest przymocowana klapa, od której sznurek biegnie przez balon i przez otwór dolny aż do łódki. W razie potrzeby żeglarz uwiesza się u tego sznurka, otwiera klapę i wypuszcza gaz, powodując opadanie balonu. Niełatwo było zbudować klapę, przystającą szczelnie. Potrzeba ją było często kroć zalepiać kataplazmem z siemienia lnianego. Przytem żeglarz nie mógł regulować otworu, ani kontrolować ilości gazu ulatującego. W r. 1875 wielki aerostat *Univers* podległ z tej przyczyny wypadkowi. Kataplazm zeschł się i gdy otwierano klapę, skruszono oblepienie, które pękło tak nierówno, że klapa napowrót już się nie domknęła. Gaz ulatywał szybko i aerostat opadł gwałtownie. Pasażerowie podlegli ranom i stłuczeniom. Jeden z nich, kapitan Renard, złamawszy nogę, zaczął myśleć nad ulepszeniem klapy i przyrząd, obmyślany przez niego, może być otwierany dowolnie, w części lub w całości. Łódkę zawiesza się na siatce sznurowej, otaczającej balon i zabezpieczonej od wpływu wilgoci. Kapitan Renard tak skrzyżował sznury, ażeby łódka w razie pochylenia nie wisiała na kilku tylko punktach przyczepienia i nie spowodowała pęknięcia sznurów. Pomijamy opis wydobywania wodoru z wody przy pomocy kwasu siarczanego i opiłek żelaznych, płókania i suszenia tego gazu, wypełniania nim balonu przez otwór doluy, zaopatrzony w rękaw jadwabny. Wspomnimy, że na wypadek ubytku części gazu aeronauta bierze z sobą wodór zgęszczony, zamknięty w specyalnym gazometrze, mierzącym 50 do 60 metrów sześciennych. Metr sześcienny gazu, otrzymanego tą drogą, kosztuje 1 fr. Taniej wypada gaz wydobyty z pary wodnej, puszczonej na rozżarzone węgle, tylko że wtedy jest zanieczyszczony tlenkiem węgla i staje się znacznie mniej lekkim. Próbowano zastosować balony do telegrafii optycznej. Umieszczano w nich lampy elektryczne żarowe, które zapalano i gaszono w odstępach czasu, odpowiadających sygnałom umówionym. Nie wielkich jednak na tej drodze usług od balonów oczekiwać można, gdyż w odległości większej niż 18 kilometrów przestają być widzialne. Żeby ułatwić kierowanie balonem, nadano mu postać wydłużoną. Doświadczenie nauczyło wszakże, iż za bardzo wydłużać nie można bezkarnie, gdyż wtedy balon podlega zbyt silnym kołysaniom, zmieniającym jego środek ciężkości. Nadto, przód budują nieco lepszy, aniżeli tył. Przegroda pozioma, przyklejona do ścian balonu, dzieli go na dwie części: górną i dolną. Górna część wypełnia się cała wodorodem. W dolnej jest umieszczony balonik powietrzny, który aeronauci wydymają wtenczas, kiedy balon, utraciwszy część gazu, obwisa, marszczy się i wiatr znajduje punkt oparcia w fałdach powłoczki. Po wydęciu balonika powietrznego powłoczka wygładza się napowrót. Pierwszy balon, którym powiodło się kierować, *la France*, miał 50 m. 40 długości, 8 m. 40 średnicy i 1861 m. objętości. Przed łódką znajdowała się śruba o dwóch gałęziach, mająca 7 m. średnicy, na osi blaszanej, wewnątrz pustej osadzona i poruszana zapomocą machiny elektrycznej, potężnej

a lekkiej, dającej szybkość 6 m., 20 na sekundę. Do żeglugi wybrano bardzo słusznie dzień, w którym szybkość wiatru była mniejsza i dlatego próba się powiodła. Gdy balon już jest gazem napełniony, potrzeba go *zważyć*. W tym celu kładzie się na łódkę tyle ciężaru, aby ściśle zrównoważyć dążenie w górę. Oczywiście cała ilość wrzuconego ciężaru odpowiada sile wzlotu. Jeden z aeronautów zawiesza przed sobą zegarek i barometr, podług których co pięć minut zapisywać będzie wzniesienie w górę, znacząc równocześnie na mapie drogę przebieżoną. Z tych danych później zostanie wykreślona linia krzywa, po której balon odbywał podróż. Towarzysz jego pełni służbę sternika. Nadchodzi pora rozstania się z ziemią. Na widowiskach publicznych najważniejsza to chwila. Hasło dane. Balon bardzo lekki, jak strzała unosi się w górę pośród zdumionych tłumów, niknie z oczu— aeronauta osiągnął swój cel i myśli teraz o jak najprędszem spuszczeniu się na ziemię, żeby go powrót końmi lub koleją jak najmniej kosztował. Inny jest cel aeronauty badacza. Pragnie on przedłużyć ile możności swą podróż i dlatego bierze zapasów jak najwięcej: balastu i gazu. Odbija od ziemi w balonie pełnym, nie obwisłym, aby mógł jak najwięcej unieść z sobą ciężaru i wznosi się ruchem powolnym, prawie bez wstrząśnienia. W miarę wznoszenia się balonu i rzednięcia powietrza atmosferycznego rośnie objętość gazu, który też w części uchodzi przez rękaw u dołu zawieszony. Wreszcie balon równoważy się z ciśnieniem powietrza i przestaje wznosić się w górę. Wysokość, której dosiągł, zowie się jego *strefą równowagi*. Zmienia się ona wprawdzie pod wpływem cieniu i światła, prądów powietrza ciepłych i chłodnych, wilgotnych i suchych, promieniowania ziemi różnego w różnych okolicach, wszystkiego słowem, co wpływa na zgęszczenie lub rozrzedzenie powietrza i gazu, ale zmiany te są mniej znaczne. Zwolna wszakże wodór ubywa, przesiąka przez ścianki balonu, powietrze wkrada się natomiast. Cały przyrząd staje się cięższy, zaczyna się obniżać. Wtedy należy wyrzucić nieco ciężaru i to im wcześniej, tem lepiej, gdyż balon pędzi na dół z prędkością przyspieszoną. Podróż ma się ku końcowi, gdy ciężaru zostanie już tylko ilość niezbędna do złagodzenia ostatecznego spadku. Wspomniany wyżej Renard pierwszy podał teoryę racyonalną ruchu pionowego balonów, na podstawie której można ilość balastu określić. Balon, obejmujący 550 metrów sześciennych gazu, zabiera zwykle 120 do 130 kilogr. ciężaru. Z nich około 20 kg. potrzeba zachować na czas spadania, zostaje więc 100 do do 110 kg. na drogę. Jednakże aeronauta ma jeszcze sposób przedłużenia wzlotu. Bierze z sobą linę około 120 metrów długą, którą rozwija i spuszcza z łódki przy spadaniu. Gdy kilkadziesiąt metrów liny spadnie na ziemię i wlec się po niej będzie, balon stanie się tak dalece lżejszym, że spadać przestanie i dalej popłynie z lekkiemi wahaniami. Ktoś mógłby mniemać, że lina zaczepi się o najdrobniejszą przeszkodę. Tak przecież nie jest, ślizga się ona po zbożach, płotach, drzewach, domach nawet, nie zrządzając szkody, aż do chwili, kiedy aerostat, coraz bardziej tracąc siłę wzlotu, jeszcze się niżej opuści. Nareszcie trzeba się zdecydować na zejście. Sprawa to drażliwa, przy której doświadczenie i zimna krew są nieocenione. Żeglarz wybiera na swojej drodze miejsce dogodne i otwarte. Lekkie uchylenie klapy w potrzebie przyspiesza obniżenie statku. Niekiedy koniecznem jest uciec się do tego środka, jeżeli balon nie ma ominąć miejsca, obranego na wylądowanie. Przy mocniejszem otwarciu klapy statek opuszcza się szybko. Łódka, zdaje się że ucieka z przed nóg, wywołując uczucie bardzo nieprzyjemne. Zarzucenie kotwicy zatrzymuje balon, który jednak jeszcze zazwyczaj kilkakrotnie, choć coraz słabiej, unosi się i opada w podskokach.

Szybkość, osiągnięta dotąd, 6 m. 20 na sekundę, jest niewątpliwie już dosyć znaczna, lecz pozwala na odbywanie podróży tylko w dni spokojne. Renard zapowiada budowę balonu z szybkością 10 m. na sekundę, mogącego walczyć pomyślnie przeciwko wiatrowi średniej siły.

Czy balon będzie ostatnim wyrazem techniki? Jeżeli trudno jest wybudować przyrząd wzlatujący, cięższy niż powietrze, natomiast łatwo obmyśleć statek mogący spadać bardzo wolno, niby po równi pochyłej, a nawet pod kątem coraz ostrzejszym. Takim przyrządem jest *spadochron*, mający kształt parasola. Od tego przyrządu krok tylko do zbudowania *aeroplanu*, którego podobieństwem jest latawiec. Podmuch wiatru wystarczy, aby latawiec na sznurku trzymany uniósł się w górę. Gdy powietrze jest spokojne, trzeba z latawcem iść prędko a nawet podbiegnąć, ażeby wzleciał. Zastąpmy sznurek przyrządem podbijającym, a otrzymamy ten sam rezultat. Z latawca zrobi się wówczas aeroplan, który nie będzie mógł wprawdzie zatrzymywać się w powietrzu na podobieństwo ptaka i będzie musiał z miejsca wybiegać ze znaczną prędkością, ale zachowa tę prędkość przez długi przeciąg czasu i zrobi odległą podróż, zużywając siłę stosunkowo nieznaczną. Będzie to prawdziwy pocisk, mogący przeszywać powietrze z prędkością 150 do 200 kilometrów na godzinę. Żeglarz zamknie się oczywiście w skrzynce aeroplanu, żeby się nie wystawiać na skutki tej szybkości zawrotnej.

Jak dalekie wycieczki będzie można przedsiębrać w aeroplanie? Tymczasem statek ten poniósł nas w przyszłość — kto wie, jak jeszcze odległą.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Drezno, kwiecień, 1887.

Jan Scherr, żywot jego, poglądy i pisma. — Był on większym nihilistą od tych, przeciw którym pisał. — Pan Grégr walczy także z nihilistami. — Nabożeństwo po Kraszewskim.

Nieraz już imię Jana Scherra ukazywało się w listach moich; wspominałem o ostatniem dziele jego, a niedawno o śmierci donioslem. Ponieważ był on jednym z najbardziej czytanych pisarzy poważniejszych w Niemczech, nie dziw przeto, że czasopisma tutejsze pełne są obecnie życiorysów i krytyk Scherra. Godzi się więc, abyśmy bliżej nieco poznali autora, którego parę dzieł posiadamy w przekładzie polskim.

Urodził się on w Wirtemberskiem (1817), wykształcił się w szkołach i na uniwersytetach krajowych; młodzieńcem zamieszkał w Szwajcaryi, dopomagając bratu w kierownictwie seminaryum protestanckiego; wezwany później do Zurychu, wraz z Dawidem Straussem ustąpić musiał z posady, w skutek zaburzeń, wywołanych upadkiem demokratów w tym kantonie. Wróciwszy do ojczyzny, przyjął czynny udział w ruchu rewolucyjnym r. 1848, za co skazany został na 16 lat domu poprawy; ratował się ucieczką do Szwajcaryi; a chociaż w r. 1862 otrzymał ułaskawienie, nie korzystał z niego i aż do śmierci pozostał w Zurychu, jako profesor dziejów powszechnych na uniwersytecie.

Z pism jego widać, że przedmiot swój znał gruntownie; uczonym jednak, w ścisłem rozumieniu tego pojęcia, nie był, badaniami źródłowemi się nie zajmował i, jak się zdaje, chluby czasów naszych, świetnej teoryi rozwojowej nie zrozumiał nigdy.

Pisał wiele, bardzo wiele: w mowie pisanej nie krępował się, sądził ludzi i wypadki surowo, lubił demaskować obłudników i komedyantów; styl miał błyskotliwy, szorstki; niemcy powiadają, że był dowcipnym: my, tak samo jak francuzi i anglicy, nie czujemy smaku w dziwacznym dowcipie niemieckim, więc i Scherrowi dowcip przyznamy chyba względnie, na wiarę współziomków jego rodaków.

Rewolucya r. 1848 zastała go mężem przeszło trzydziestoletnim; upadek jej był dla Scherra bankructwem moralnem. Gdyby był młodzieńcem, możeby, jak młoda roślinka zmrożona, zdobył się na nowe listki nadziei; ale w jego wieku, zawód zupełny, przyszłość zwichnięta, dom poprawy w perspektywie i wygnanie podziałały druzgocząco: zgorzkniał i stracił wiarę we wszystko. Stał się pesymistą najczarniejszej barwy. Na dzieje ludzkości patrzył jako na tragikomedyę — było to ulubione jego wyrażenie. „Cała tak zwana historya powszechna — pisał — jest tylko ciągłą reorganizacyą armii. Ludzkość obraca się między dwoma biegunami: płodzeniem i niszczeniem. Najszczytniejsze poloty ducha i najnikczemniejsze czyny ludzkie są niczem więcej, jak bańkami mydlanemi. Dzieje są nieustającą wojną wszystkich ze wszystkimi, wojną o tysiącznych postaciach, niezmordowaną i bezecną. Pytaniem: czy istnienie nasze ma jakiś cel rozumny, nie warto się zajmować. Na dnie wszystkiego leży bezwstydne samolubstwo, mniej lub więcej urożowane frazesami; we wszystkich walkach chodzi nie o wolność i prawdę, ale o siłę i panowanie. Tak zwany stan trzeci, wywalczywszy tak zwaną wolność, ujarzmił stan czwarty. Ten z kolei przyjdzie do władzy i tak samo ciemiężyć będzie... (kogo, na to nam Scherr nie odpowiada). Tak zwana historya powszechna jest nauką, przeznaczoną ku wysławianiu czcicieli powodzenia. Postępu niema; na scenie świata zmieniają się tylko dekoracye, ale histryony zawsze te same. Idee postępowe, to zawsze ta sama kapusta, tylko odgrzewana i przyprawiana z coraz to innym sosem. Marzenia o wiecznym pokoju i harmonii społecznej przystoją dzieciom i wierszokletom; ludzie dojrzali widzą, że prawdziwy pokój wtedy dopiero nastąpi, gdy cała komedya świata runie i zapanuje cisza śmierci."

Wszystkie te zdania są dosłownie wyjęte z rozmaitych pism Scherra...

Spytacie tedy, cóż mu zjednało niesłychany posłuch, którym się cieszył i cieszy w Niemczech?

Odpowiedź leży w usposobieniu i pojęciach samychże niemców. Jak Scherr był rozbitkiem i po burzy nie umiał odnaleźć zgubionej busoli, tak samo i większość niemców po r. 1848 upadła na duchu, zgorzkniała i zwątpiła. Pożądliwie przeto chwytano wszelkie wyrzekania na świat i ludzi, nie mówiąc już o tem, że każdy, ktokolwiek zręcznie a głośno wymyśla czasom i ludziom, znajdzie słuchaczy i zwolenników zawsze i wszędzie.

Ale zdruzgotanie i zblocenie chorągwi z r. 1848 pociągnęło za sobą inne jeszcze następstwa, które zupełnie logicznie wysnuły się z jej upadku. Rewolucya zawiodła, szukano więc innego ratunku na główne udręczenia: hegemonię francuską i rozdrobnienie Niemiec. Jako gwiazda przewodnia zabłysła nowa potęga: Berlin. Ku Berlinowi skłoniła się powoli cała inteligencya niemiecka; mnóstwo ex-liberałów pociągnęło za sobą masy. Zaczęły się tryumfy wojenne Prus, skończyły się na pogromie Francyi.

Nasz Scherr, po r. 1870, znalazł się w szeregu gorliwych wielbicieli „mężów opatrznościowych," cesarza Wilhelma, Bismarka, Moltkego itd. W ostatniem piśmie swojem idzie on nawet dalej od przednich placówek pruskich: wyrzuca przywódcom ruchu wszechpruskiego nieskasowanie państw udzielnych w Niemczech i „zaprzepaszczenie" niemców austryackich w Czechach i Węgrzech. Wątpiąc o wszystkiem i wszystko nazywając błazeństwem, na starość Scherr znalazł coś, na czem się oparł, jak na kotwicy. Tem czemś było, zgadnijcie?... wojsko niemieckie! Tak, rewolucyonista z r. 1848, profesor dziejów powszechnych na uniwersytecie zuryskim, sceptyk i czarny pesymista, odkrył przecie grunt pod nogami: wojsko obroni świat od „czerwonych hunnów, czyli anarchistów i nihilistów; wszystko inne, procz wojska, wszystkie inne instytucye i korporacye nie nie są war-

te, wszystko inne w Europie jest niepewnem, bezsilnem i podkopanem.

Gdy sobie pomyślimy, że do takiego samego *credo* doszedł cały prawie naród niemiecki, łatwo zdamy sobie sprawę z poczytności pism Scherra: jaki słuchacz, taki wieszcz!

Nie potrzebuję dodawać, że i w innych pytaniach zaszedł on tam, gdzie i większość motłochu: w sprawie równouprawnienia kobiet i żydów znalazł się w obozie zaciętych wsteczników; kilka pism obłoceniu idei tych poświęcił.

Pewien mój znajomy amerykanin nosił stale przy sobie wycinek z dziennika, zawierający ogłoszenie o małżeństwie Hartmanna; zdawało mu się, że osławiony pesymista nie mógł popełnić większego przeniewierstwa teoryom swoim, jak zabierając się urzędownie do pomnożenia rodzaju ludzkiego. Otóż taką samą nielogiczność okazał na tragikomicznej scenie świata i nasz Scherr: żonaty był dwa razy, a po raz wtóry nawet w póżnym już wieku, z hożą szwajcarką, z którą przysporzył światu dwóch dzielnych „tragikomedyantów“ i popisowych do wojny „wszystkich ze wszystkimi.“

Nie będę tu wyliczał pism jego, wspomnę tylko o ważniejszych. Najpierwszem większem były *Dzieje religii*, na dziś dzieło już bez wartości; z jednej strony nie umie ono wskazać początku pojęć religijnych, bo, jak wspomnieliśmy, teorya rozwojowa obcą została przekonaniom Scherra; z drugiej strony, przecenia rolę i znaczenie religii, której na starość autor nasz tak wielkie znaczenie przypisywał, że go nawet teologowie katoliccy wychwalać zaczęli.

Najwięcej czytaną pracą jego, a może i najlepszą, były wielokrotnie drukowane *Dzieje cywilizacyi niemieckiej*, które, przerobione niedawno na „Germanię,“ spopularyzowane i upstrzone rysunkami, doczekało się pięciu wydań w ciągu lat ostatnich i przyniosło autorowi i nakładcy grube pieniądze.

Obok nich *Dzieje literatury angielskiej*, dzieła o Schillerze, Göthem i Blücherze zjednały sobie pewien rozgłos. Ostatniem dziełem było *Postacie i opowiadania*, o których w poprzednich listach wspominałem.

Pisał też powieści i szkice satyryczne, wyśmiewając Wagnera, humanistów, żydów, kobiety; dużo tam sadzenia się na dowcip, dużo wyrazów i wyrażeń drastycznych; jak powiedziałem, pewne koło niemieckie znajduje tę manierę dowcipną; dla nas to strawa niesmaczna, często nawet wstrętna, treść zaś snuje się z oklepanych sofizmatów i wcale płytkiego rozumowania.

Parę lat temu Scherr cisnął gromy swoje na nihilistów, w książce z takimże tytułem (*Die Nihilisten*). Czytelnik, mający w pamięci wyżej przytoczone poglądy historyozoficzne autora, spyta zapewne, czy sam Scherr, dla którego świat i ludzie są błazeństwem i niczem, nie jest właśnie czystej wody nihilistą i jakiem prawem występuje w obronie „zagrożonych podstaw społecznych,“ które przecież poczytuje za lichą kupę histryonów i tragikomedyantów?

Jak rozmaicie miotane bywają pewne hasła i połajanki, to widać z nowego zastosowania przezwiska nihilistów w Czechach. Dosyć jest nie wierzyć w to, co niektórym się wydaje wiary godnem, aby zarobić na miano nihilisty. W Czechach słynny spekulant od *Narodnich listów*, dr Juliusz Grégr, wierzy, albo udaje, że wierzy w autentyczność „Rękopisu Królodworskiego“; otóż tych, którzy są innego zdania, od pewnego czasu począł przezywać *nihilistami*. Gdybyż na tem się kończyło! Ale demagog pragski idzie dalej; przeciwników autentyczności „Rękopisu“ utożsamia ze zdrajcami ojczyzny, nieukami itd.; wszystkie te piękne przymioty skupia w jednym wyrazie: nihilista i, przyznać należy, robi dobry geszeft; pozuje na ojca ojczyzny, a zarazem ma ze 30,000 prenumeratorów, posiada strawny żołądek, pija wódkę przed obiadem, ma rangę doktora i wierzy w... „Rękopis Królodworski.“

Ostatnimi czasy p. Grégr w dzienniku swoim zamieścił szereg artykułów pod napisem „Filozofowie samobójstwa.“ Ciekawy to dokument, okazujący, do jakiego stopnia posunąć się może wyuzdanie mowy i myśli w napaściach na ludzi, z których każdy naukowo i moralnie stokroć jest więcej wart od płaskiego krzykacza, broniącego niby „podstaw narodowości czeskiej.“ I co począć z osobistością, która świadomie kłamie na każdym kroku, tendencyjnie przekręca słowa przeciwników, nie wymienia nazwisk napastowanych, a osoby ich czerni z za płota.

Pisałem już dawniej o sporze co do prawdziwości „Rękopisu Królodworskiego.“ Po dzień dzisiejszy przybyło sporo dowodów świeżości tego mniemanego zabytku, ale jeszcze więcej zajątrzenia i rozgoryczenia stron walczących. Zatarg przeniósł się powoli z areny literackiej na polityczną i coraz szersze koła zapaśników pociąga. Miejmy nadzieję, że prawda zwycięży i że uczciwi miłośnicy jej, panowie Gebauer, Masaryk i ich sprzymierzeńcy wyjdą tryumfująco z pobojowiska, na którem zostanie tylko błoto, hojnie ciskane przez „ulicznika królestwa czeskiego.“ A zyskamy na tem i my, bo z przewidywanym upadkiem p. Grégra pozbędziemy się zjadliwego nieprzyjaciela, gardzącego i pomiatającego nami w każdym numerze pisma swojego dlatego tylko, żeśmy słabsi od jego ukochanego „stryjaszka“...

Z nowin miejscowych donoszę, iż 18 kwietnia odbyło się w tutejszym kościele głównym nabożeństwo żałobne po Kraszewskim, zapowiedziane polskiem ogłoszeniem w dzienniku drezdeńskim.

Jan Karłowicz.

KARTKI ESTETYCZNE.

XIX. Obraz Rochogrosse'a.

Tych wszystkich, którzy ze sfery malarstwa wykluczyć pragną wszelką moralną i społeczną celowość, zapraszam przed obraz francuskiego malarza Rochegrosse'a, znajdujący się obecnie na wystawie p. Krywulta.

Obraz ten uplastycznia jedną z chwil historyi francuskiej; jednocześnie wszakże dzięki głębszemu obmyśleniu i niemałej sile wykonania, sięga wrażeniem swej wyżej i dalej, stawiając przed oczy i umysł widza całą grozę walki, jaką od wieków toczy na ziemi potomstwo Kaina z potomstwem Abla.

Artysta, któremu zresztą szło może jedynie o realne i efektowne odtworzenie dramatycznej sceny, stał się w niej, prawie bezwiednie — historyozofem.

Silna, a zarazem trafna charakterystyka obu grup, stojących tu naprzeciw siebie, mówi nietylko o stronnej nienawiści, rozdzielającej przepaścią jednych od drugich, ale wskazuje jednocześnie źródła, z których nienawiść ta wytryska, oraz czynniki, doprowadzające ją do wybuchu aż tak okropnego.

W komnacie zamkowej, noszącej na sobie ślady zamożności i wykwintu, widzimy po jednej stronie grupę niewiast, przedstawiających klasę narodu szlachecką i szlachetną, po drugiej zaś — nędzny i obdarty motłoch.

Cywilizacya i dobrobyt wypiękniły oblicze klasy wybranej i odcisnęły na nich piętno duchowe, stwierdzające słowa Biblii o stworzeniu człowieka na obraz i podobieństwo boże; nędza materyalna i moralna znikczemniły twarze i serca klasy wydziedziczonej i zrównały ją ze stadem zwierząt drapieżnych.

Gwałtowność, z jaką wrywa się do komnaty rozwścieklony ten tłum, spieszący ubroczyć ręce w „błękitnej“ krwi arystokratów, ma w sobie coś z gwałtowności pary, rozrywającej ściany więżącego ją kotła. Im silniejszem poddano ją ciśnieniu, tem gwałtowniej wybucha i tem większe sprawia zniszczenie.

Obrońcy zamku padli już pod ciosami rozbestwionego chłopstwa; głowy ich, kurczem śmierci wykrzywione, niosą napastnicy w tryumfie, pozatykawszy je na widły i kosy. Garstka niewiast i dzieci, skamieniona niemal trwogą śmiertelną, czeka na swą kolej męczeństwa, straciwszy ostatnią deskę ocalenia, którą była — modlitwa. Jedna tylko z niewiast, matrona w stroju półzakonnym, pół-wdowim, próbuje stawić zbójcom moralny przynajmniej opór, zasłania sobą towarzyszki i surowem spojrzeniem gromi nadchodzących.

Czy spojrzenie to powstrzyma szał hordy, pijanej trunkiem i nienawiścią — trudno odgadnąć. Prędzej jednak wątpić o tem, niż wierzyć w to wypada. Współczucie dla słabszych, cześć dla kobiety, względność należąca się bezbronnym — wszystko to cnoty, krzewiące się jedynie na gruncie uprawionym cywilizacyjnie i niedostępne zdziczałemu w nędzy i ciemnocie motłochowi. Jedynem jego natchnieniem — zemsta; jedynem prawem — prawo mocniejszego.

Na widok tych, krwią zbroczonych i zwierzęcym obłędem rozszalałych nędzarzów, umysł mędrca zmroczyć się musi smutkiem głębokim. A uczucie, jakiego dozna, będzie bardziej politowaniem, niż nienawiścią. O napastnikach nie powie jedynie: jacy okropni! ale także: jacy nieszczęśliwi! I zapyta się sam siebie: azali warto o błyskotkę cywilizacyjną tyle krwi przelewać?..

Ale i nas, zwykłych spostrzegaczów, uderzyć musi rażąca sprzeczność pomiędzy charakterem prawej grupy i lewej. Tu aksamit, złotogłów, klejnoty, cera wydelikacona przez życie spokojne i czoła gładkie, pod któremi chowa się myśl zbudzona i lotna: tam — ciała wychudłe, pokrzywione, czarne; zamiast odzieży — łachman, zamiast ust — paszcze, zamiast oczów — trupie, głęboko zapadłe jamy...

Niech wszyscy będą szczęśliwi, a złych wcale nie będzie.

O wszystkiem tem mówią plastyczne formy obrazu, niemalowanego zresztą tendencyjnie, lecz tylko z zachowaniem niezbędnej artystycznej prawdy. Tak wiele — i więcej jeszcze — głębokiej, życiowej filozofii wyrazić można farbami, rozprowadzonemi na płótnie. A więc malarstwo potrafi być celowem i posiada środki do wypowiedzenia myśli i idei? Ślepy chyba lub fanatyk systemu przeczyć temu będzie wobec tak wyraźnych dowodów.

Obraz Rochegrosse'a czyni silne wrażenie głównie niezwyczajnym układem figur i wyrazistą charakterystyką twarzy i ruchów. Ruch naprzykład pochylonego naprzód nędznika, podobny ruchowi tygrysa, zabierającego się do skoku, mistrzowsko jest obmyślany. Wyraża on już to ostateczne wyzucie się z człowieczeństwa, które stawia człowieka na równi ze zwierzęciem — jeżeli tylko nie niżej od zwierzęcia...

Ale miara artystyczna nawet i przy malowaniu takich wyjątkowych okropności zachowaną być winna. Inaczej stają się one karykaturą i tracą niezbędny warunek każdego dzieła sztuki: prawdopodobieństwo. Autor „Napadu“ dość pilnie o tem pamiętał; jednakże temperament francuzki, ubiegający się przedewszystkiem za efektownością, a następnie brak wzorów bezpośrednich w życiu, sprawiły, że twarze kilku chłopów wymalowane są przesadnie i raczej sztuczny grymas, niż właściwy nastrój psychiczny wyrażają.

Połnaga naprzykład wiedźma w pierwszoplanowej grupie, z oczyma szklannemi, o ustach konwulsyjnie wykrzywionych, choć widza wrażliwego o dreszcz zgrozy

przyprawi, jest fałszem artystycznym, gdyż przypomina bardziej trupa, niż człowieka żywego. Modelu do niej szukać musiał artysta w nadsekwańskiej trupiarni (*Morgue*). Pomiędzy mechanicznem wykrzywieniem mięśni, a ich grą świadomą, odbijającą choćby iskierkę czucia i myśli, zachodzi wydatna różnica, o której inteligentnemu malarzowi zapominać nie wolno.

W innem jeszcze miejscu poświęcił Rochegrosse prawdę dla efektu, a mianowicie wprowadzając do grupy niewiast dwoje dzieci, kilkolatków, których twarze pokrył maską naiwnego spokoju. Jako tło, jasne i pogodne, podnosi to bardziej jeszcze tragiczny nastrój obrazu, jest również jednak — fałszywem. Kilkoletnie dzieci nie patrzą takim ufnym i niepojętnym wzrokiem na skrwawionych zbójców i mdlejącą od trwogi rodzinę. Jeżeli nie wzbudzi się w nich dojrzalsza nad lata energia, zniewalająca do czynnego oporu, to bronią się przynajmniej: głośnym, rozdzierającym płaczem.

A możnaby też postawić artyście kilka innych czysto już malarskich zarzutów.

Perspektywa linijna obrazu jest tak osobliwą, że wytłomaczyć sobie niepodobna. Dlaczego na jednym i tym samym planie figury napadające są mniejsze od figur napadanych? Dlaczego wymiar dalszej grupy chłopstwa jest taki, jakby oddaloną była od pierwszej o kroków kilkadziesiąt, kiedy tymczasem drzwi, któremi grupa ta wpada, wykreślone są zaledwie o kroków kilka od drzwi, któremi tłoczy się grupa pierwsza?

Przy rozpatrywaniu szczegółów niemile razi oschła maniera w traktowaniu rąk, których palce posiadają drewnianą niemal sztywność. Sztywność tę widzimy też w całej postaci kobiety leżącej — tu jednak usprawiedliwiona jest ona poniekąd odrętwieniem, w jakie nagły przestrach kobietę ową wprawił.

I koloryt obrazu nie może być nazwany świetnym. Nadużycie barwy brudno-żółtej zdaje się wskazywać, że Rochegrosse, umyślnie lub bezwiednie, naśladuje w kolorycie Munkaczego. Oświetlenie płótna, którego głębię zalegają gęste mroki, właściwe jest porze przedwieczornej — ale i ta nawet pora nie usprawiedliwia ze wszystkiem tych blasków chorobliwych, szpitalnych, jakie kładą się na ludziach i rzeczach. Prawdopodobnie na wybór takiego oświetlenia wpłynęło głównie owo, wspomniane już wyżej pożądanie efektów. To pożądanie kierowało też i rozkładało światło, które skupia się wyłącznie na figurach działających, całą zaś resztę płótna (blizko dwie trzecie ogólnych jego rozmiarów) pozostawia nierozjaśnioną.

Wskutek popielato-rudawego odcienia włosów trojga osób skupionych przy sobie, oraz pargaminowej barwy kilku bliskich siebie twarzy, prawa grupa obrazu nadmiernie jest zażółconą. Żółtość ta rzuca odblaski na barwne suknie kobiet, przedstawiające jedynie pole dla popisu kolorystowego i barwy tych sukien mąci i psuje. Obniża to w stopniu wysokim malarską wartość kompozycyi.

Przy realnem i masywnem traktowaniu wszystkich prawie figur, prawdziwą niespodziankę stanowi postać płaczącej dziewicy, o rudawych, rozpuszczonych włosach, która wychyla się z po za matki, tulącej do łona córeczkę. Postać ta, do połowy tylko widzialna, tak nasiąkła jest światłem, które pozbawia ją wszelkiej odrębnej barwy i ujednostajnia kolor włosów z kolorem twarzy, ust i oczów — że prędzej za jakąś marę powietrzną, niż za żywą kobietę wziąść by ją można.

Ale mimo tych wszystkich niedostatków, obraz Rochegrosse'a uznać musimy za dzieło prawdziwego talentu, którego obejrzenie przyniesie musi niezaprzeczoną korzyść zarówno publiczności naszej, jak artystom. Główna zaś wartość obrazu tego spoczywa nie w jakiejś wyjątkowej doskonałości rysunku i kolorytu, lecz w nastroju dramatycznym, obmyśleniu i — celowości.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Spory akademickie. — Prus jako superarbiter. — Idee wielkie i małe. — Które są potrzebniejsze. — Jakie my wyznajemy. — Tłok w kierunku małych. — Zachwaszczona niwa. — Jakim sposobem można by ją opleć. — Sfałszowany telegram. — Jeż wobec *Czasu*. — Co jest ludzkiem, a co nieludzkiem. — Dobijanie konających. — Za wiele honoru.

Ponieważ albo nam życie nie dostarcza materyału do rozpraw, albo nad dostarczonym rozprawiać nie chcemy, a ostatecznie trzeba ciszę opinii publicznej napełnić jakimś gwarem, więc urządzamy sobie spory akademickie, teoretyczne, od rzeczywistości oddalone lub całkiem oderwane — oto np., czy kula jest bryłą piękniejszą, czy sześcian, czy arystokracya jest „naturalną“ przewodniczką narodu, czy nienaturalną — itd. Spory takie mają wiele stron przyjemnych: stanowią gimnastykę dla młodzieży literackiej, dostarczają ogółowi zajmujących widowisk walki niekrwawej lub burzy z nieszkodliwymi gromami, a nadewszystko, prowadzone ponad głowami społeczeństwa, właściwie nikogo nie dotykają. Najmilszym i często też „przewietrzanym“ tematem jest przez milion instancyj przewleczona, a dotąd nierozstrzygnięta sprawa konserwatyzmu i postępu. Wszczyna ją jedna lub druga strona, usilując, o ile można, wychwalić swój ogon, a zniesławić cudzą głowę; czasem wszakże podnosi ją jakiś superarbiter, który oświadczywszy obu walczącym szeregom: i wy głupi, i wy głupi — wskazuje im drogę mądrości. Rolę tę lubi szczególnie odgrywać B. Prus, który tem chętniej ją podejmuje, że cieszy się obustronną sympatyą, a do wszelkich krańców czuje odrazę szczerą.

W formie „listów podróżnika Nordenskjölda do podróżnika Andersona“ (*Kur. warsz.*) usiłuje on nakreślić wizerunek naszego społeczeństwa i rozjaśnić „halucynacye tutejszych zachowawców i postępowców.“ Bo — według niego — „partye tutejsze nie mają realnego gruntu pod nogami, kłócą się więc o cień rzeczy i o własne upodobania, nie zaś o publiczne interesy.“ Na poparcie tego twierdzenia przytacza: szereg faktów, niebędących wcale „cieniami rzeczy,“ oraz różnic widzenia, przekonywających, że przeciwnikom chodzi o „interesy publiczne.“ Ci za pomocą swych wydawnictw „szerzą oświatę,“ „w granicach możliwych na tutejszym gruncie rozwijają inicyatywę,“ zakładają pisma nieopłacające się, a nawet instytucye (Rocznik fizyograficzny, Kasa Mianowskiego itp.), słowem „polska demokracya zstępuje już z wyżyn teoryi na grunt rodzimy“; tamci znowu bronią interesów szlachty, zakładają szpitale i przytułki, wydają pisma stronnicze, przeciwstawiają się prądowi ludowemu — itd. Wyliczywszy te i inne jeszcze objawy, mające ilustrować „halucynacye“ i „cienie rzeczy,“ Prus, nieprzekonany własnymi dowodami, wnioskuje pesymistycznie, że u nas „ludzi, którzyby organicznie pracowali dla teraźniejszości według jakiegoś szerszego i głębszego programu, nie ma.“ Kto postawi taki program, wyrażający „potrzeby społeczeństwa i środki ich zaspokojenia,“ ten ogłosi „wielką ideę,“ chociaż „naprawdę wielkich idei, ani małych nie ma,“ są tylko jasne albo niejasne, praktyczne albo niepraktyczne.

Otóż na tym punkcie idei wielkich i małych wywiązał się spór akademicki między Prusem i kilkoma jego przeciwnikami: on utrzymuje, że powinniśmy myśleć o małych (zwłaszcza że według niego wielkich właściwie niema), oni zaś, że o wielkich. Odpuściwszy Prusowi grzech sprzeczności w twierdzeniach i ich paradoksalność, możemy nie wątpić, że on zna wielkie idee i w istnienie ich wierzy; spróbujmy natomiast przejechać się „po niebie na wozie z obłoków, końmi ze mgły, poganianemi biczem z piasku,“ to jest zastanówmy się, jakie idee są dla nas potrzebniejsze: wielkie, czy małe?

Kwestya ta równowarta z pytaniem: co człowiek czynić powinien — myć się, czy uczyć, a zatem: czy dla nas potrzebniejsze są łazienki, czy szkoły? Sądzę, że tę zagadkę rozwiązać łatwo: należy myć się i uczyć, zakładać łazienki i szkoły. Gdybym więc, naśladując Prusa, odegrał rolę superarbitra, rzekłbym jak on: że obie strony w części mają słuszność, a w części nie mają. Idei małych wymagają drobne, codzienne potrzeby, teraźniejszość życia narodu; idei wielkich — jego pragnienia umysłowe i moralne, jego przyszłość. Jeżeli społeczeństwo dba tylko o to, ażeby istnieć, może poprzestać na pierwszych, ale jeżeli i o to, ażeby na pewnej wyżynie się utrzymać, musi wytwarzać lub z zewnątrz przyjmować drugie. W jakim kierunku my bardziej pracujemy? Niewątpliwie w kierunku idei małych. Skłania nas do tego słabość sił duchowych, nizki stopień cywilizacyi, trudności rozwoju, wreszcie przewaga prądów zachowawczych. Nie znaczy to wszakże, ażebyśmy nie dobywali z siebie lub nie przeszczepiali z obcego gruntu idei wielkich. Myśl ocalenia od potopu dodatnich pierwiastków narodu w jakiejś arce, uczestnictwo, bodaj bierne, w potężnych ruchach wiedzy i przekształceniach życiowych całego świata — postępy własne i naśladowane są pochodem, któremu przewodniczą gwiazdy pierwszej wielkości. Trudno zaś żądać, ażeby co setny lub tysiączny z nas zapłonął słupem ognistym dla narodu lub ludzkości. Takie ognie gęsto nie palą się nigdzie, nawet tam, gdzie ich nie zdmuchują wiatry i nie zalewają deszcze. Główną naszą biedę stanowi to, że ku tym ogniom, ku tym wielkim ideom zwraca się zbyt drobna cząstka społeczeństwa, większość zaś kręci się około zadań i celów drobnych. Akurat przed rokiem pisaliśmy w tym przedmiocie: „Gdy gwiazdy wielkich idei pogasną — zapalają się kaganki i łojówki, które tylko w ciemności świecą. Tak dzieje się obecnie u nas. Miejsce ideałów zajęły karykatury kastowych lub osobistych interesów, szczytne hasła zagłusza harmider. Widnokręgi publicystyczne zakreśla byle śmiałek końcem swojego nosa, na który zatknął dobro społeczne. Elektryzujące nas tak niedawno jeszcze teorye naukowe przestały działać na nerwy nasze.“ Słowem, nam nie brak wielkich idei, ale brak ich apostołów i wyznawców, tak jak koło chaty chłopskiej nie brak świeżego powietrza, tylko ludzi, którzyby w niej otwierali okna. Żyjemy stanowczo w okresie panowania małości — małych celów, małych dążeń, małych środków i małych dzieł. Społeczeństwo, zatwożone o swój byt materyalny, rzuciło się przedewszystkiem do umacniania go, słucha więc przedewszystkiem tych, którzy grają na odpowiednich strunach jego duszy, a mistrzami w takiej muzyce są umysły płytkie i charaktery nizkie. Nasza literatura, a raczej nasza prasa, posiada całe ławy tych piskorzów zamulonej wody. Nieraz aż wstręt zatrzęsie, gdy pomyślisz, kto tu obok ciebie pełni obowiązki nauczyciela opinii publicznej. Dawniej za pióro chwytali stosownie uzdolnieni, dziś oprócz nich tłumy rozbitków, ludzie bez żadnej nauki i talentu, emigranci z drugiej lub czwartej klasy, dymisyonowani kanceliści lub oficyaliści prywatni — zbieranina najdziwaczniejsza, zajmująca całą możliwą skalę uzdolnień. Znieśmy zastrzeżenie prawne i pozwólmy wszystkim leczyć, a zobaczymy, co się zrobi z wielkiemi ideami me-

dycyny, jakie żywioły zyskają największą praktykę i jak znachorzy zmuszą doktorów do opuszczenia drogi ściśle naukowej. Natomiast załóżmy pięć lub dziesięć wielkich instytucyj bez monopolu dla jakiegoś wyznania lub narodowości, przeprowadźmy jeszcze kilka kolei żelaznych, otwórzmy szereg ujść pracy specyalnie nieukształconej, a przekonamy się, ilu zniknie literatów i ile wyrośnie krzewów idei wielkich. Dziś ich ziarna muszą ginąć śród bujnie rozplenionego badyla. Literatura jest państwem czysto arystokratycznem i w gminowładztwie, o ile ono bywa głupiowładztwem — niszczeje. Prus, jako wielki talent, czuć to musi.

Wiadomo czytelnikom naszym, że ktoś sfałszował telegram z Genewy do Krakowa, donoszący o „pojednaniu się Kraszewskiego z Bogiem“ przed śmiercią. Ponieważ zmarły był zawsze „pojednany z Bogiem“ nawet wtedy, gdy przyjmował order od króla włoskiego ku wielkiemu smutkowi papieża i jego czeladzi, obnoszącej chorągiew „trupiego posłuszeństwa,“ miało więc to znaczyć, że odbyła się zwykła ceremonia przedzgonna, otwierająca znakomitemu nieboszczykowi bramę grobów krakowskich. Otóż Jeż wyjaśnił w *Prawdzie*, że depesza była podrobioną, że Kraszewski umarł bez spowiedzi, że świadkowie ostatnich chwil jego życia oszczędzili mu obecności księdza, która na chorego starca podziałaby zabójczo. Odsłonięty fakt i usprawiedliwione uczucia ludzkie — więc, zdawałoby się, nie ma powodu do pobożnych konwulsyj. Zapewne — gdyby nie ów nieszczęsny telegram, puszczony w świat przez niewidomą rękę, którą złapano. *Czas*, bez wątpienia „dobrze poinformowany“ o właścicielu tej ręki, napadł na Jeża, szerzącego „niedowiarstwo i cyniczny materyalizm“ — za co? Fałszerstwa trudno było zaprzeczyć, więc obryzgano litość. „Okrucieństwem zowie p. T. T. Jeż przypomnienie umierającemu ostatnich pociech (!) wiary; chwali się z „serca ludzkiego,“ że świadomy o tem, że Kraszewski wierzył, świadomie przeszkodził (!) mu w jego wierze (!) umierać. Znamy tych ludzi, to najczarniejsi z pośród sekty (!), fanatyzm(!), swej niewiary posuwają do tego, aby walczyć o duszę (!) w chwili zgonu i odsuwać kapłana.“ Pomijając nowe fałszerstwo prawdy, gdyż — według Jeża — owi „fanatycy niewiary“ mieli w pogotowiu księdza na wypadek, gdyby go Kraszewski zażądał, zastanówmy się nad cynicznem, zimnem, kamiennem okrucieństwem czarnej międzynarodówki: dlatego, żeby się stało zadość woli jezuitów krakowskich, świadkowie śmierci Kraszewskiego mieli oświadczyć konającemu a pragnącemu żyć starcowi: wezwij księdza, bo umierasz. Kto po za tą wystudzoną z wszelkiego ciepła, bezwrażliwą na wszystkie uczucia prócz własnego interesu czeredą bękartów Inkwizycyi miałby odwagę uderzyć takim młotem gasnące życie? Zaiste, zbyt wiele honoru zrobiono wielu ludziom, porównywając ich ze zwierzętami.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Sumienie i etyka. — Gościnne małżeństwo. — Postępy w statystyce kryminalnej. — Kultura i oświata. — Saksończyk i poleszuk. — „Dyrdymałki.“ — Artyści prowincyonalni przerachowali się. — Biadania korespondenta *Dniewnika Warszawskiego*. — Nasze zakłady kąpielowe.

Zarzucają nam, że pewne stany oskarżamy, że każda o nich wzmianka tchnie nienawiścią. Gdyby kto z naszych towarzyszów, idąc szerokim szlakiem, naraz zboczył na jaką wązką ścieżynę, wyparlibyśmy się go, bez względu na poprzednie węzły serdeczne. Bezstronność nie jest ani przyjaźnią, ani nienawiścią. Gdzie zaś się tuła sprawiedliwość, gdy zbrodniarz wychodzi czysty i poklask swych braci odbiera? „Dobrze urodzony“ stanął w Mińsku przed kratkami sądowemi za oszustwo w banku moskiewskim. Wielki ból sprawił ten wrzód ciału z natury skrofulicznemu. Ale znaleźli się lekarze, co zamiast szybkiej operacyi starali się ukryć w organizmie cząstkę gnijącą, wstydząc się przed światem choroby. Opinia publiczna silnie zawrzała, bo jawna tolerancya oszustwa zadała gwałt sumieniu i etyce ogółu. Teraz ta fala wzburzona zaczyna nieco się wygładzać. Sprawa wzięła inny obrót. Wyrok przysięgłych nie był ostatecznym. Prokurator założył protest i oto niedawno sądzono sprawę ponownie. „Urodzony“ Brzozowski został pozbawiony praw stanu i skazany na trzy lata wygnania do gub. irkuckiej z wzbronieniem następnie powrotu do Rosyi europejskiej w ciągu lat dziesięciu, oraz na wypłatę wierzycielom 32,074 rs. i kosztów sądowych. Żal przyjaciół, współczujących położeniu winowajcy, był tak wielki, iż mu na pociechę w więzieniu wyprawiono owacyę, jak na stróżów honoru i sumienia przystało.

Dalecy od podobnych hołdów młodzi małżonkowie X. na Litwie, którzy na swoich godach weselnych wygnali hulanki i pijatyki, a natomiast zebrawszy włościan ze wsi dziedzicznej, podejmowali ich hojnie, sami usługując. Jakkolwiek ten patryarchalny sposób bratania się z chłopami nie zacieśnia trwałych węzłów i prawie nie przynosi moralnej korzyści, w braku jednak lepszej spójni dobra i taka. Może to milimetr naprzód. Przydałoby się mniej efektowne, a pożyteczniejsze zbliżenie do zagrody, zwłaszcza że moralność ludu coraz bardziej chroma. Przyzwyczaiłem się od dzieciństwa patrzeć na łagodną, bogatą w szlachetne pierwiastki naturę siermiężnego mieszkańca nizin poleskich. Było to niedawno jeszcze. Dziś zdumiewam się, przeglądając urzędową statystykę kryminalną: ojco i bratobójstwa przy podziałach familijnych, podpalania, kradzieże itd. W Mozyrskiem niedorostki ze szkoły gminnej obdarli i zabili ślepego żebraka. Skąd takie potwory wyrastają? Na tem samem Polesiu starcy, żebracy ciemni czcią byli otaczani, a dotychczas jakieś tajemnicze złe i dobre siły są wywoływane w zaklęciach nawpół z modlitwą połączonych, jak: *Czarnuszki, Rabuszki, Makuszki, Połowuszki, Połymuszki, Uchwaty, Piereloty, Olel, Pomaż* itd. Chrześcianie ci o pojęciach pogańskich na wszystko są wrażliwi, boją się zbrodni i kary. Naraz pojawia się w nich cecha właściwa gwałtownym naturom. Przypuścić mogę tylko jedno: ulegają wpływom zewnętrznym, a te w ostatnich czasach zalewają wioski śród mokradeł, wskutek nowej kolei żelaznej i osuszania błot. Roboty, skoncentrowane na przestrzeni oddzielonej lasami i bagnami od reszty świata cywilizowanego, ściągnęły z dalszych gubernij wschodnich mnóstwo ludzi, którzy zdołali w charakterze miękich poleszuków zaszczepić swe wstrętne wady. Kultura przeniknęła w ten kraj zapadły, ale nie zdołała ciemnośsi rozproszyć, pomimo że istnieje *oświata*... Tu i owdzie można spotkać *hramotnych*, tj. znających się na literach pisanych i drukowanych, na liczbach i nieco na śpiewach cerkiewnych. Dziwny wpływ wywiera ten nędzny strzępek wiedzy. Posiadacz jego marzy o surducie, urzędzie pisarza gminnego, urzędnika drogi żelaznej itd. Rola i strzecha rodzinna staje się dlań brzemieniem nieznośnem. P. Aleksander Jelski w korespondencyi z gub. mińskiej do *Gazety rolniczej* wita z radością projekt reformy szkół gminnych, utrzymując, iż kierunek w nich nieurzędniczy i fiskalny, lecz rolniczo-rzemieślniczy, byłby prawdziwie zbawiennym dla ekonomiki kraju. Niewątpliwie; tylko przedtem wypadałoby zbadać grunt, na którym moralność i pojęcia poleszuków urabiały się lata całe. Urządzenia gminne za granicą nie mogą na teraz służyć za wzór dla Polesia. Zagrodnik saski, obeznany z lepszą kulturą, wysyła chętnie swych synów do szkółki rolniczej, a gdy się zjawi w sąsiedztwie jakie nowe narzędzie lub sposób uprawy roli, gospodarz nie szczędzi kosztów i pracy, by je posiąść. Nie gorzej w innych miejscowościach Europy. To też na mocy przykładów podanych przez Kay'a *), produkcya rolna u włościan wyższą bywa niż u fermerów i większych właścicieli. Zwróćmy przytem uwagę, że tam strona moralna i umysłowa lepsze ma ciepiarnie. U nas szkółki gminne nawet po zreformowaniu nie dadzą same przez się wszystkiego, czego chłopom potrzeba. Oswobódźmy niemowlę z powijaków wpierw, nim mu chodzić każemy.

Stąpamy nierównomiernie. Gdy z jednej strony wykluwanie się moralno-ekonomiczne wyczerpuje nas i przeszkody napotyka, z drugiej — bez wysiłków powstają zakłady rozwijania się namiętności ludzkich. Bilard, gra należąca do najmniej hazardownych, została w tym kierunku *udoskonaloną* i przyjęła się znakomicie na bruku lubelskim. Nowa zabawka nazywa się *dyrdymałką*. Ludzie bez zajęcia, wyrostki, przegrywają grosz ostatni, nie wiadomo jaką drogą zdobyty, robotnicy — całotygodniowy zarobek. Znaleźli się artyści tej sztuki, którzy po kilkadziesiąt rubli na jeden wieczór zbierają. *Gaz. lubelska* odebrała list, zapewne zmyślony, ale przedstawiający prawdziwy typ krzewiciela strasznego nałogu: „Ogłoszenie złożone przeze mnie w redakcyi: mężczyzna w sile wieku poszukuje pracy, jest już niepotrzebne“ — powiada wynalazca świetnego źródła zarobku. Dalej tłomaczy tajemnicę zbogacenia się. „Pomiędzy grającymi widziałem ludzi bardzo młodych, rozmaitego stanu, rzemieślników, którzy wprost od roboty, nie zdejmując nawet fartuchów, przychodzili dla powiększenia zarobku i najczęściej przegrywali go. Pomyślałem sobie zaraz, że byłoby daleko praktyczniej zabrać im wieczorem, co przez dzień zarobili, niż się zgodzić do jakiej ciężkiej roboty za liche wynagrodzenie... Odtąd całe noce przepędzam przy bilardzie; nabrałem w grze wielkiego doświadczenia i pewności ręki. Kapitałem obrotowym rozporządzam znacznym, bo już dawno nie grywam z partnerami, co stawią po dziesiątce. Zabieram co noc po kilkadziesiąt rubli, a czasem, jeśli człek starań przyłoży, to i do stu dociągnie. Tym sposobem los wynagrodził mi ciężkie chwile, dziś mam byt zapewniony i jakie takie stanowisko...“

Przeciwnicy twierdzenia Marksa: wszelka specyalność jest idyotyzmem, nie powinni narzekać na brak fachowców, tem bardziej, iż warunki na nowem polu są wielce przyjazne, a przeszkód żadnych. Jak dalece ludzie przyrastają do takiego rzemiosła, dowodzi Częstochowa, gdzie potrzeba wrażeń duchowych i estetycznych zupełnie zamarła, pomimo sąsiedztwa strzelistej wieży jasnogórskiej i dobrego patronatu. Sala teatralna podczas przedstawienia *Miodu kasztelańskiego* stała pustkami, jednocześnie wszystkie zielone stoliki w miejscach publicznych i prywatnych były szczelnie zajęte. Grubo się omylili dyrektorowie scen prowincyonalnych, licząc na wyzyskanie szlachetnych pierwiastków uczuć ludzkich pod wrażeniem chwili. Nie wszędzie serca w jeden takt biją, a tkanki mózgowe z jednakową siłą wrażenia moralne odczuwać mogą. Pan Szymborski w Płocku także obrał ten sam czynnik rozczulający, ale tam jeszcze gorzej; przedstawienie zawieszono, bo nikt nie przyszedł do teatru. Wogóle teatr na prowincyi (prócz operetek), nie ma powodzenia. Nawet korespondent *Dniewnika warszawskiego* z Łomży narzeka na to,

---

*) *De la condition sociale et de l'education du peuple en Angleterre et en Europe.* Przykłady nagromadzone w tem dziele pochodzą z przed r. 1850. Dziś znacznie się stosunki zmieniły na lepsze.

lecz z innych powodów. Bawi w tem mieście obecnie trupa rosyjska, podtrzymywana tylko przez swoich rodaków, gdyż „polacy demonstracyjnie unikają odwiedzania teatru, rzadko kto zajrzy. Starano się nawet wszelkimi sposobami przeszkodzić występom artystów. Tymczasem kiedy się niedawno odbywały polskie przedstawienia, połowę teatru napełniali rosyanie. To samo daje się spostrzegać i w innych miastach na prowincyi. My nie lekceważymy polskiej sztuki, pomimo że sami jesteśmy zasobniejsi pod tym względem. No, i proszę zrozumieć polaków, utrzymujących ciągle, że rosyanie powinni pierwsi rękę podać. A szkoda i przykro, bo historya robi swoje i łatwo zrozumieć, komu będzie gorzej...“ Korespondenci *Dniewnika* bardzo często lubią obok pojedyńczych nut życia codziennego potrącać rozleglejsze akordy dysonansowe, wiecznie z jednego tonu. Nie chcą zrozumieć, że magnat, zaszedłszy do zagrody, gdy przyjmie posiłek od gospodarza, nie czyni sobie ujmy; przeciwnie, szlachetka skromny, chętnie u stołów pańskich przesiadujący, zapomina o godności własnej.

Przyjmujemy nieraz udział w obcych biesiadach, lecz odmiennych; jedni mają na celu rozszerzanie widnokręgu swych pojęć, albo wzmocnienie źrenicy, nienawykłej do zbyt jaskrawego światła (takich najmniej), drudzy (tych najwięcej) wychylają się ze swego kurnika, aby pod pozorem krzepienia ciała pierwiastkami alkalicznymi i mineralnymi, popatrzeć na świat, a przez to w oczach domowników nabrać szacunku i wagi o 50% większej (wiadomo, że sale i minerały dodają wagi przedmiotom o pustych komórkach). Ale pocieszmy się, prawdopodobnie i nasze *łady* nabiorą znaczenia. Zmiana przepisów paszportowych skieruje wielu do swojskich zdrojowisk; aby tylko zachowano względną pobłażliwość dla niezamożnych. Sławinek, potulny sługa skromniejszych, a prawdziwie chorych, zaczyna się uwalniać z pod ręki macoszej. Działalność lecznicza tego zakładu ma być rozszerzoną. W projekcie są: hydropatya, kąpiele borowinowe, kuracya mleczna, kefir, kumys, masaż, elektryczność itd. Komu myśl leniwie krąży, serce wolniej bije, a oko ospałe niezdolne niczem się ożywić, niech jedzie do Sławinka, żelazem młodzieńczy ogień wskrzesić. Kogo zaś urok zagranicy silnie mami, a kieszeń nie cięży, niech przywdzieje szaty pielgrzymie i spróbuje podążyć do Jerozolimy lub na górę Athos...

Drogomir.

PRASA ROSYJSKA.

Graždanin tak śmieje się ze szkoły „zdemokratyzowanej.“

„Drzwi szkoły — powiada ks. Meszczerski — otworzono szeroko, a do nauki greczyzny, łaciny i wyższej matematyki przywołano wszystkie dzieci dorożkarzów, stróżów, lokajów, subjektów, sklepikarzów, włościan — słowem tego wielomilionowego ludu, który pędził swój ciemny, lecz silny i patryarchalny żywot...

Tę młodzież z ludu usadowiono na ławach szkolnych, obok synów urzędników, duchownych i bojarów, dano jej jako nauczycieli ludzi zewsząd naprędce zebranych, bez wiedzy powszechnej, a szczególnie bez odpowiedniego przygotowania pedagogicznego i powiedziano im: „uczcie się — będziecie klasykami.“

— A na co mi to? — pyta syn stróża.

— Jakto na co! Pójdziesz do uniwersytetu.

— Ba, wtedy nie będę miał nawet 2 rs. na miesiąc, z czegóż więc żyć będę?

— Nie potrzeba, otrzymasz stypendyum.

Tak zrobiono w Rosyi... Zgódźcie się panowie, że w imieniu Horacego i Wirgiliusza, Homera i Owidyusza nie można było wymyśleć bardziej radykalnego środka demokratyzowania młodych pokoleń.“

O PRAWDĘ*).

Wybacz, Szanowny Redaktorze, że zmuszony jestem prosić Cię o gościnność dla kilku słów odpowiedzi p. J. S., który zamieścił w 16 n-rze *Prawdy* ocenę mej pracy p. t. *Koniec świata*.

Z mnóstwa poruszonych popularnie w mej książce hipotez, teoryj i poglądów naukowych p. S. kwestyonuje głównie dwa ustępy: objaśnienie powstawania uranolitów oraz rojów gwiazd spadających i hipotezę, dotyczącą okresu lodowego ziemi.

Wprawdzie sam nazwałem te wyjaśnienia „fantazyą naukową“ a pomieściłem jedynie dla ich oryginalności; p. S. jednak idzie dalej i bez ceremonii nazywa je „fantazyą, ale nienaukową“ i objaśnia wspomniane zjawisko w kilku słowach po swojemu. Ponieważ każdemu wolno mieć własne zdanie w kwestyach wątpliwych, więc też i w wyborze hipotez, zwłaszcza gdy jest ich dużo do wyboru, nie myślę narzucać ani memu krytykowi, ani nikomu swoich poglądów. Dla tych samych powodów nie mogę jednak zgodzić się na narzucone mi prawie gołosłowne zdanie p. S.; boć wzmianka o teoryi Proctora i kilkuwierszowe objaśnienie teoryi lodowej — nie są wystarczającymi argumentami.

Z równą racyą mógłbym przeciwstawić im długi szereg innych poglądów, z których każdy ma poważnych zwolenników i obrońców.

Gruntując na tak błahych zarzutach swój sąd, p. S. kończy ocenę całości zdaniem następującem:

„Z kilku przykładów, gdzieśmy bliżej (?) zaznaczyli, o ile poglądy, rozwijane przez p. M. zgadzają się z naukowym stanem odnośnych zagadnień — *można wnosić o stosunku tej książeczki* (!) *do wiedzy.*“

Choćbym nie chciał polemizować, muszę wyznać, że to nieco za śmiało powiedziane!

Gdyby nawet w samej rzeczy dwa przykłady wyjęte z mej książki zasługiwały na miano „nienaukowych fantazyj,“ choćbym je sam wymyślił, a nawet zgrzeszył, podając je za pewniki, to jeszcze nie należałoby z tego „wnosić“ o całości i odsądzać książkę od wartości naukowej, gdy w niej starano się z prawdziwego chaosu sprzecznych hipotez, jakich pełną jest astronomia fizyczna i geologia — wybrać i przedstawić tylko najpowszechniej przyjęte w nauce. Hipotez zresztą, choćby nawet „dość szczególnych,“ nie obala się jednym zręcznym frazesem, bo potrzeba na to gruntownych, naukowych wywodów. Co jednemu wydaje się „szczególnem,“ inni mogą uważać za naturalne lub prawdopodobne, a dopiero przyszłość i dalszy postęp wiedzy zadecyduje, kto miał słuszność. Wszak i systemat Kopernika musiał się wydawać „szczególnym“ jego oponentom.

Porównania tego nie czynię, aby bronić nieomylności przytoczonych przeze mnie poglądów Teodora Moldenhauera, z jakimi p. S. bliżej się może zapoznać w jego dwutomowem dziele: *Das Weltall u. seine Entwickelung* (Kolonia. 1884) — bo najwyraźniej traktuję zakwestyonowane jego poglądy jako bardzo oryginalne i tylko prawdopodobne przypuszczenia — ale jedynie, aby przypomnieć, że w poruszonych dziedzinach nauka jeszcze ostatniego słowa nie wypowiedziała.

Trzymając się w krytyce dotychczasowej metody, mógłbym p. S. przeciwstawić, podobnie jak na owych dwóch przykładach, niemal każdej hipotezie, u mnie zamieszczonej inną, z takiem samem powodzeniem, jak to uczynił niegdyś słynny Abelard, który całą wiedzę podzielił na dwie połowy: „tak“ i „nie.“ Pierwsza połowa zawierała twierdzenia, druga przeczenia tych samych twierdzeń.

Nie byłby to jednak właściwy sposób oceniania prac popularnych, w których autor nie może odpowiadać za uczonych, jakich poglądy w przystępnej formie streszcza. W ocenie popularnych dziełek powinno chodzić, mojem zdaniem, o wykazanie, czy książka nie posiada rażących błędów naukowych, czy nie wskrzesza starych i obalonych hipotez, oraz czy jest napisana zajmująco i zrozumiale — lub nie (bo o te przymioty w popularnej pracy chodzi) — ale nie napada się na popularyzatora za to np., że dał pogląd Moldenhauera, gdy krytyk wolałby Proctora, nie napada się choćby dlatego, że gdy jest w czem wybierać, „de gustibus non est disputandum.“

Erazm Majewski.

*) Zamieszczając tę replikę p. Majewskiego, zastrzegamy możliwość odpowiedzi krytyka, z którym znieść się dotychczas nie mogliśmy. *Red.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kuryer warszawski rozwiązał swą dotychczasową spółkę wydawniczą, mianowicie ze spadkobiercami rodziny Szymanowskiego połączył się p. Lewenthal. Natomiast pp. Gebethner i Wolff nabyli *Kuryer codzienny* i z częścią wyprowadzonych z dawnego gniazda współpracowników zamierzają wydawać pismo podobne do tego, w którem swój udział sprzedali. Spory, targi, sprzedaż, konferencye dziennikarskie przez kilka tygodni odbijały się głośnem echem w Warszawie.

Grad wielkości kurzego jaja znanym jest wielu przesadnym opowieściom; w środę wszakże warszawianie przekonali się, że on nie jest wytworem legendy. Istotnie kule lodowe, któremi burza sypnęła na miasto nasze, wyrównywały objętością kurzym jajom. Szkody w stłuczonych szybach, zniszczonych inspektach i ogrodach dosięgają ogromnej cyfry. W niektórych domach po kilkaset szyb rozbitych. Nawet wątlejsze dachy podziurawione. Uderzenia były tak silne, że ludzie, zaskoczeni przez burzę na ulicy, padali bezprzytomni.

Konkurs na premia dla literatów polskich. Franciszek Kochman, urzędnik izby obrachunkowej we Lwowie, zmarły 1866 r., przeznaczył na ten cel część mienia. Fundusz wynosi 24,000 zlr. Obecnie rozpisano konkurs (do 31 marca 1888 r.) na dwie nagrody, jedna 1,000, druga 500 zlr. za dwa dzieła najlepsze. Wszyscy literaci polscy, w rozmaitych krajach zamieszkali, mogą nadsyłać swe prace pod adresem Wydziału Krajowego we Lwowie. Ubiegać się mają prawo wszelkiego rodzaju płody autorów polskich, z wyjątkiem treści religijnej i teologicznej, zarówno żyjących jak umarłych; pierwszych tylko już drukowane, drugich — jeśli drukowane za życia — w trzy lata po śmierci autora, jeśli zaś nie wydane jeszcze, nagroda przyznana służyć ma jedynie na ogłoszenie dzieła. Własność pracy nagrodzonej służy autorowi i nadal. W skład komitetu sędziów wchodzą: pp. Oktaw Pietruski, dr Zygmunt Samolewicz, dr Alfred Biesiadecki, dr Ludwik Kubala, Władysław Łoziński, dr Antoni Małecki, Zygmunt Sawczyński.

Przygotowania do wystawy hygienicznej, zapowiedzianej na 15 b. m., szybko się posuwają. Najważniejsze pawilony są już na wykończeniu. Główny będzie mieścił dział szpitalny, bakteryologiczny, audytorya, gdzie odbywać się mają wykłady doktorów po kilka godzin dziennie, tamże dział pedagogiczny. Pawilonik z przyborami ratunkowy drogi żelaznej Warsz.-Wied., obszerny pawilon dla działu fizyczno-chemicznego drogi Nadwiślańskiej itd., budynek dla wzorowej szkółki wiejskiej, dwie klasy urządzone za inicyatywą inżeniera Rycerskiego. Przy szkółce będą ogródki Froeblowskie, gimnastyka, domek hygieniczny z cegły Grancowa. Kanalizacya Warszawy urządzona w naturalnej wielkości (główny kolektor, kanały, przykanaliki), model stacyi filtrów na Koszykach. Przygotowane są kamienie na urządzenie kawałka ulicy. Gotowe pawiloniki: dla Muzeum pszczelniczego, dla kupca Koszelewa z Moskwy na spirytualia. Pawilon taniej kuchni, gdzie będą wydawane obiady w południe, wieczorem zaś na porcye. Brak kilku jeszcze pawilonów.

Egzaminy próbne, odbywane dotychczas w gimnazyach filologicznych z uczniami kl. VIII wątpliwych zdolności, zostały w tym roku zniesione w niektórych zakładach warszawskich.

Kasy włościańskie. W gub. lubelskiej otwarto w r. z. trzy nowe kasy pożyczkowe włościańskie: w gminie Chmielnik, Oględów i Jangrat. Także kasy w r. b. urządzone będą w Miechowie, Potoku, Szańcu i Grutkach.

Pokłady antracytu znaleziono niedawno w Opoczyńskiem. Próbki przesłano do Warszawy dla zbadania. Podobno według analizy produkt ten dobrocią ma dorównywać najlepszemu gatunkowi angielskiemu.

Nagroda. Na posiedzeniu francuskiego tow. geograficznego, pod prezydencyą Ferdynanda Lessepsa, zostały rozdane członkom nagrody za prace dokonane w dziedzinie geografii przez podróżników francuskich. Medal złoty otrzymał Józef Martin, który odbył podróż po wschodniej Syberyi, gdzie badał zwyczaje koczujących plemion i kopalnie minerałów.

Sąd pruski skazał na miesiąc więzienia dr. Karola Graffa, redaktora *Gazety toruńskiej*. W Poznaniu, gdy celi więziennej jeszcze nie opuścił dr Kantecki, skazano na areszt jego zastępcę Grylewicza, następnie w Toruniu Danielewskiego.

Oryginalny obraz Van-Dycka odkryto przy rozdziale spuścizny zmarłego burmistrza Brukselli. Płótno to, znalezione na strychu pośród starych rupieci, rzeczoznawcy ocenili na 25,000 fr.

Liczba uczniów w średnich zakładach naukowych rządowych w Warszawie wynosi 3,974 chłopców i 1.840 dziewcząt. Uczniowie ci uczęszczają do 11 gimnazyów i 3 progimnazyów.

Wydalenie. Rozkaz p. oberpolicmajstra warszawskiego obejmuje listę 53 cudzoziemców, wydalonych bezpowrotnie z granic państwa rosyjskiego, w tej liczbie 7 poddanych pruskich z nazwiskami polskiemi.

Fundusz kolonizacyjny żydowski, przeznaczony na urządzenie kolonij rolniczych dla żydów, przeszło milion rubli, przelany został do skarbu państwa. Powodem jest zaniechanie osiedlania żydów na roli. W sumie powyższej mieści się kwota, zebrana z opłaty za mięso koszerne.

Ministeryum oświaty w tych guberniach, gdzie niema ziemstw, postanowiło przy szkółkach wiejskich wyznaczyć działy gruntu dla nauczycieli, celem polepszenia ich bytu. Ministeryum dóbr państwa nie znajduje żadnych przeszkód do uzyskania na ten cel Najwyższej decyzyi i ze swej strony przyrzekło wyznaczać z majątków skarbowych działy po 15 dziesięcin dla każdej szkoły, z zastrzeżeniem, aby nadawane były tylko w razie koniecznej potrzeby.

Zapisy. Rada miejska warszawska dobroczynności publicznej przyjęła zapisy zmarłego Józefa Radziszewskiego na powiększenie środków kasy pożyczkowej niezamożnych rzemieślników 4,000 rs. i do rozporządzenia Tow. dobroczynności na podtrzymanie ochronek dla ubogich dzieci, tudzież na wsparcia naukowe dla szkół rzemieślniczych 4,000 rs.

Sprawy wojenne króla Stefana Batorego. Dyaryusz, relacye, listy i akty z lat 1576—1586. Pod tym tytułem wyszło dzieło nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, ułożone przez ks. Polkowskiego. Do ciekawszych należy obszerny dyaryusz sejmu z r. 1581 i oblężenie Wielkich Łuk.

Historyczna wystawa żydowska otwartą została w Alberthal w Londynie. Obejmuje ciekawe przedmioty starożytne, rękopisy, autografy, monety, arki, rodały, dzwony, tudzież piękny model wielkiej świątyni w Jerozolimie.

Burza silna srożyła się 25 kwietnia w Morawie południowej koło Nikolsburga. Spustoszenia znaczne, pola zalane, drogi uszkodzone, plant kolei Lanaenberg-Nikolsburg w kilku miejscach podmyty. Pociągi nocne wstrzymane. W pobliżu Krzeszowic piorun uderzył w barak z robotnikami i silnie kontuzyował 14 ludzi.

Zapisy na stomilionową pożyczkę 4% wewnętrzną rozpoczęły się 26 kwietnia w warszawskim kantorze Banku państwa i doszły odrazu do 7,500,000 rs.

Kobiety na kolejach żelaznych. *Nowosti* donoszą, iż z rozkazu ministra komunikacyi, departament kolei żelaznych rządowych rozesłał okólnik, zalecający możliwe ograniczenie liczby kobiet, pracujących w różnych oddziałach kolei żelaznych.

Praca nieletnich w następujących fabrykach stanowczo wzbroniona: w zakładach, gdzie się wyrabiają przedmioty ze szczeciny, włosia końskiego, pierza, trawy morskiej itd., w warsztatach rzemieślniczych, gdzie do oczyszczania metali używa się rozmaitych kwasów, pozłoceń i posrebrzań galwanicznych, w rzeźniach i piekarniach.

Wychodźctwo. W W. Ks. Poznańskiem z jednej wsi w pow. obornickim 18 rodzin (przeszło 80 osób) wyruszyło do Ameryki.

Dr Bronisław Dębiński otrzymał docenturę historyi powszechnej przy uniwersytecie jagielońskim w Krakowie.

Zmarli. W Pradze czeskiej dr Jan Stveng, rektor uniwersytetu czeskiego, znakomity profesor na wydziale medycznym, prawdziwy obywatel.

— Dr Jakób Girtler, profesor prawa niemieckiego w uniwersytecie Jagiellońskim, wielki przyjaciel młodzieży.

— Robert Michot, botanik belgijski. Przed 15 laty odbywał wycieczki w góry Karpackie i wywiózł z nich bogate okazy flory miejscowej.

— Józefa Prusiecka, w Warszawie, poetka, współpracowniczka noworoczników przed r. 1840. Pisała dla dzieci: „Nowe powiastki" (1845—1868, „Powieści moralne" (1843).

— Dr Edward Miram, w Kijowie. Odbył studya w Dorpacie a egzamin w Wilnie, gdzie w r. 1853 został pomocnikiem prosektora przy muzeum anatomicznem Po zniesieniu akademii wileńskiej, objął katedrę fizyologii w Kijowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Leonowi W. w Paryżu. Rękopis wysłany pod wskazanym adresem poczta paryzka zwróciła nam. Życzeniu więc Pana zadość uczynić nie możemy.

P. Stanisławowi. Postawiwszy raz zasadę milczenia wobec obłędnych lub niecnych napaści tego pismaka, nie możemy jej dla uwag Pańskich łamać. On obrazić nie może, więc po co się na niego gniewać?

Student wydziału matematycznego, znający język angielski, może u jednego z przyjaciół naszego pisma otrzymać książkę do przekładu.

Sprostowanie. W nr. 18, w artykule „Fałszywy alarm," szp. 1, wiersz 21, zam. „koszt pszenicy," winno być „koszt produkcyi korca pszenicy," a niżej wiersz 44 zamiast „przeszłorocznego," powinno być „przyszłorocznego," tj. w nadchodzącej kampanii.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczt[ę] zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Апрѣля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.